

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 26 LIPCA 1930 ROKU

NR. 30

TREŚĆ NUMERU: Jak się nauczyć punktualności — *Natalja Jastrzębska*. Poezje: „Pewność”, „Milczące drzwi”, „Wieczór” — *Witold Zechenter*. W żłobku — *Eugenja Masiejewska*. Błady cień florencki — *Adam Czartkowski*. O tem, jak pani pisząca fruwała w obłokach — *J. Putiatycz-Surynowa*. Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *Z. M. i S. P. O.* Kobieta w świetle i w domu. O szacunku dla starszych — *Jadwiga Kiernarska*. O zaburzeniach skórnych w lecie — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Tępienie pluskiew. Ile konserw potrzebujemy na zimę — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek: „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Kokardy — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

JAK SIĘ NAUCZYĆ PUNKTUALNOŚCI

II.

Jeżeli chodzi o niepunktualność zbiorową, to często nawet człowiek, najdokładniej orjentujący się w czasie i najpoprawniej rozkładający swe zajęcia, może zostać przez nią wciągnięty. Cóż poradzimy na to, że wszystkie, śmiało rzec można, zebrania — zawodowe, społeczne, czy towarzyskie — zaczynają się o pół godziny, a nieraz i o całą godzinę później; że nawet w wielu biurach pora, oznaczona dla interesantów, bywa chimera; że rzemieślnik, kupiec, dostawca nigdy prawie nie dostarczy nam na czas tego, co obiecał; że nasi znajomi i przyjaciele przychodzą do nas w porach, nie mających nic wspólnego z temi, które były umówione?

Dla zwalczania niepunktualności zbiorowej potrzebna jest szeroka akcja, obejmująca ogół. Bardzo dobrze, iż akcję tę rozpoczyna się już w Polsce. Przed rokiem powstało Towarzystwo Punktualnych. Założycielem tej instytucji jest p. Józef Bek. Zadaniem towarzystwa — „szerzenie i utrwalanie punktualności, jako cechy charakteru, którą niewielu Polaków poszczycić się może, a bez której nigdy nie dorównamy w kulturze Zachodowi, zwłaszcza najbliższym sąsiadom naszym, Niemcom”. Członkowie towarzystwa mają zadanie nietylko stosowania punktualności w postępowaniu własnem, ale i nakłanianie do niej innych; należenie do Tow. Punktualnych ułatwia im właśnie to pilnowanie drugich, żądanie od nich punktualności, której członkowie Towarzystwa są przedstawicielami i propagatorami.

Niezwykle szlachetna i sympatyczna postać założyciela Towarzystwa, który z każdym z członków odbywa, przy wprowadzeniu go, konferencję, infor-

muje osobiście o celach i porządku instytucji, przyczynia się niemało do wciągnięcia dużego koła sympatyków do działalności. Nie trzeba dodawać, że prezes jest żywym wcieleniem zadań swego zrzeszenia. Mieniając się sam „emerytowanym urzędnikiem państwowym”, nie zaprzestał jednak pracy w licznych instytucjach naukowych i społecznych, które to obowiązki potrafi doskonale ująć w czasie i pogodzić ze sobą.

To też ilość członków się zwiększa, a objąć powinna szerokie rzesze. Towarzystwo punktualnych ma bowiem przed sobą liczne i poważne zadania. Pierwszy rok działalności poświęcony został tylko sprawie punktualnego przybywania na zebrania. Dla osiągnięcia tego celu postanowiono propagować szeroko skłanianie do punktualności przez: zaczynanie punktualnie zebrań, bez względu na ilość przybyłych, zamykanie wstępu spóźniającym się, lub nieudzielenie im głosu w dyskusjach i nakładanie kar za spóźnienie.

Towarzystwo tego rodzaju ma przed sobą bardzo szeroki zakres działalności. Powinno ono wciągnąć do swego grona przede wszystkim siły naukowe: pedagogów, psychologów i lekarzy. Zaznaczyliśmy już, że niepunktualność może być wadą psychiczną, związaną z chronicznym niezdawaniem sobie sprawy z granic czasu, lub z chorobą woli. Dla leczenia tych wad, a także dla psychicznego treningu i wychowania ludzi w punktualności, potrzebna jest pomoc wiedzy.

Wiemy dobrze — jak to zresztą, określając cele Towarzystwa Punktualnych, zaznaczył p. prezes Bek — do jakiej precyzyjnej punktualności doszły

kraje Europy zachodniej. Punktualność jest tam przykazaniem państwowym i narodowym. Cel ten został jednak osiągnięty napewno nie przez nadzwyczajny dar psychiczny tych narodów, ale przez odpowiednie wychowanie indywidualne i zbiorowe, przez nastawienie w tym kierunku gospodarczego, społecznego, państwowego aparatu. Do tej punktualności zachodniej przyłożyć trzeba jednak odpowiednią miarę krytyczną. Punktualność niemiecka np., jest — jak wogóle cała psychologia narodowa w wielu jej przejawach — mechaniczna, pod znakiem rutyny i ślepego rozkazu. Równie sumienna, a jednak rozumna i twórcza jest ścisłość i punktualność rasy anglosaskiej, anglików i amerykańców i na niej raczej wzorować się nam należało.

Towarzystwo Punktualnych powinno utrzymywać stały kontakt ze wszystkimi stowarzyszeniami, one bowiem, mając dostęp do rzesz swych członków, mogą rozwinąć szerszą akcję wychowawczą w tym kierunku. Biorąc pierwszy lepszy przykład, istnieje we wszystkich, bez wyjątku, stowarzyszeniach jeden zwyczaj, legalizujący poprostu spóźnianie się członków na zebrania: jest to odczytywanie protokołu poprzedniego, a nierzadko i paru poprzednich posiedzeń. Ceremonja niezajmująca i niecelowa. Nigdy prawie się nie zdarza, żeby ktoś mógł zwrócić uwagę na nieścisłość w protokole i zaprotestować, bo przecież zarząd posiada chyba zaufanie członków. Jeśli chodzi o możliwość jakiejś pomyłki sekretarza, to czyż nie lepiej rozesłać protokół członkom? Ten, kogo to interesuje, przeczyta daleko uważniej sam i może wtedy zareklamować. Jak mało zaś ogół członków o tem myśli, sądzić możemy właśnie po tem, że trzy czwarte ich spóźnia się na zebranie, aby uniknąć nużącego słuchania sprawozdania z poprzednich obrad.

Poza działalnością zrzeszeń zawodowych i społecznych, istnieje, dla wdrożenia ludzi do punktualności, cały szereg środków, które mogą być stosowane tylko drogą zarządzeń ogólnych, przy współudziale władz różnorodnych instytucyj, a nawet administracji państwowej.

Wiemy dobrze, że najwięksi „spóźnialscy” muszą zdążyć na pociąg, bo „kolej nie czeka”. Otóż tak samo, jak kolej, powinni „nie czekać” i inne rzeczy. Najsmutniejszym chyba objawem jest niepunktualność tych, którzy są naczelnymi wychowawcami młodego pokolenia. A jednak tu, niestety, zdarza się ona bardzo często. Przysłowiowy kwadrans akademicki (zupełnie zbyteczny i niewiele gdzie już na Zachodzie praktykowany) rozrasta się u nas do pół godziny, a niekiedy i więcej. Do akcji punktualności przyłączyć się więc powinny przede wszystkim uniwersytety i wyższe uczelnie. Tak samo teatry i wszelkie imprezy koncertowe i odczytowe. Wiadomo, że ludzie są bardzo czuli na uderzenie... po kieszeni. Jeżeli każdy będzie wiedział, że, spóźniwszy się na przedstawienie,

straci część widowiska, za które zapłacił — napewno na drugi raz przyjdzie w porę.

Do władz komunalnych i państwowych należy unormowanie punktualnego załatwiania spraw w biurach i urzędach, wyznaczanie właściwych godzin na każdą sprawę w sądach i t. p. Władze te powinny z urzędu zostać protektorami Towarzystwa.

Punktualność zbiorową osiągnąć można tylko przez zorganizowanie całego zbiorowego życia, tak, aby nikt spóźniać się nie mógł, a także i nie musiał, co, jak widzieliśmy powyżej, też czasem się zdarza.

W sprawie wychowania społeczeństwa w punktualności bardzo ważny jest udział kobiet. One to, jako matki i panie domu, stworzyć mogą pierwszą podstawową komórkę punktualności indywidualnej — zorganizowany na jej podstawach dom. Do pomocy w tem zadaniu wezwać musimy naukową organizację gospodarstwa domowego, ułatwiającą nam rozłożenie zajęć i celowe wykorzystanie i zużycie każdej chwili. Przede wszystkim jednak kobiety muszą wychować same siebie w punktualności i konsekwentnie wdrażać do niej rodzinę i domowników.

Prawdziwą klęską jest pani domu, która nie potrafi przestrzegać godzin wspólnych posiłków, która opóźnia je niewykonaniem na czas, niedbalstwem, niedopilnowaniem służby, lub, w razie jej braku, opieszałością własną, albo, która sama spóźni się na obiad, gdy już czekają domownicy. Iluż to sprzeczek i głębszych nieraz nieporozumień w małżeństwach bywa to przyczyną! Z drugiej strony, każda pani domu zdobyć się musi na tyle energii, aby jej autorytet czasu był szanowany przez domowników, aby i oni się nie spóźniali, przynajmniej na główne w dniu posiłki.

Tu znów możemy brać przykład z zagranicy. Pora obiadowa jest tam, że użyję tego wyrażenia, *publicznie*, ściśle przestrzegana. W niektórych krajach, gdzie obiad jadają w południe (np. w Szwajcarii, lub w Niemczech), zamykają się wtedy biura, sklepy, nikt do nikogo w tej porze nie przychodzi i mowy niema, aby ktokolwiek mógł spóźnić się do domu na posiłek. We Francji, Anglii, Ameryce obiad jada się późno, po pracy. W południe następuje krótka przerwa na lunch, i tam jednak niema mowy o tem, aby ktoś, dla załatwienia jakichś spraw lub dla rozrywki opóźniał przyjście do domu na obiad.

Punktualność tę ułatwia znakomicie zasada, że wszyscy mają jedną, wspólną porę posiłku, i to należałoby wprowadzić u nas, gdzie w jednym i tem samym mieście, w jednej warstwie społecznej, niekiedy w jednej rodzinie pora obiadowa ma granice od 12-ej w południe do 5-ej, czasem i dłużej. Jeden z członków rodziny wraca ze szkoły o 1-ej lub 2-iej, drugi z biura o 4-ej, trzeci ma właśnie o 4-ej jakąś lekcję; w jednych instytucjach (np. prywatnych) pracują urzędnicy z przerwą na obiad w południe, w innych —

od 2—4, w biurach znów inaczej; wytwarza się ogólny chaos.

Ten system jest najuciążliwszy dla pani domu, najwięcej odbija się na niej i uniemożliwia zupełnie przestrzeganie punktualności w organizacji domowej. To też kobiety powinny użyć wszystkich środków dla ujednolajnienia pory obiadowej i wyrzucić cały nacisk moralny na swych domowników, aby przestrzegali punktualności. Niema chyba większej niewygody w gospodarstwie, jak parokrotne podawanie obiadu w różnych porach, lub odgrzewanie go i trzymanie w pogotowiu całego aparatu kuchennego, bo ktoś się spóźnił. W takim domu ani pani, ani służąca nie mają chwili wolnej.

Te same reguły zastosować należy do godzin rannych, w których dzieci wychodzą do szkoły, dorosli do zajęć. Zbytnią względność matki i pani domu i nieprzestrzeganie przez nią ścisłej punktualności w organizacji poranka sprawia, że dzieci nie mają czasu na parę chwil tak koniecznej dla zdrowia gimnastyki, nieraz na porządne umycie się (o zgrozo!), połykają śniadanie, stojąc, i w rezultacie przychodzą z opóźnieniem do szkoły. Mogłyby coś o tem powiedzieć szkolne dzienniki, w których liczba kół-

czek, zaznaczających opóźnienie na pierwszą godzinę wykładów, sięga niekiedy 30 i 40 procent uczniów w klasie!

Ta punktualność domowa, pozornie niby łatwa — przecież nie filozofja, niby każdy może to umieć! — jest w gruncie bardzo trudna. Wymaga bystrej orjentacji, siły woli, daru wzbudzenia bezwzględne go poszanowania dla swych zarządzeń, no i przede wszystkim: idealnej osobistej punktualności pani domu.

Poza domem również mają kobiety rozległe pole propagandy punktualności w życiu towarzyskiem, w szkołach, na terenie pracy zawodowej i w stowarzyszeniach. Trzeba jednak uznać zasadę, że kobieta, która nie potrafi utrzymać punktualności we własnym domu, nie jest zdolna propagować jej skutecznie nazewnątrz.

A sprawa jest ważna: punktualność — to nie pedantyczna teoria, ale absolutny nakaz współczesnego życia, które zbyt jest intensywne i złożone, aby pozwalało na stratę czasu, zwłaszcza w Polsce, która w porównaniu z innymi krajami ma tyle zaległości do odrobienia i tyle nowych wartości do stworzenia dla siły i ochrony swego bytu... Natalja Jastrzębska.

WITOLD ZECHENTER

PEWNOŚĆ

*Spłyniesz w me oczy cichą nocą
nasiąkła srebrem i opalem —
w sercu się chwile zatrzepocą,
jak fale.*

*Wezmę cię w dłoń, pełną życia,
jak pszenną kromkę chleba —
i wtedy mnie zachwycisz
wonią dojrzewania.*

WIECZÓR

*Wieczór jest nikły i drżący na blaskach,
jak sen gasnący u twych dobrych źrenic —
księżyc pieszczotą ciemne liście głaska —
jesteśmy cisi i onieśmieleni.*

*A tam — za parkiem, tonącym w zadumie —
patrz, jak się srebrem w dal rozlata droga —
a serce nasze roędrować nie umie —
a dusza nasza smutna i uboga.*

MILCZĄCE DRZWI

*Przychodziłem pod te drzwi milczące
i pukalem, kolatałem w ciszy —
czy nie słyszysz moich łez palących
i słów moich gorących nie słyszysz?*

*Odchodziłem w dalekie ulice,
mgłą wilgotną pokryte i żwirem —
jakże, jakże mogłaś mnie usłyszeć,
skoro drzwi tych milczących — nie było?*



EUGENJA MASIEJEWSKA.

W ŻŁOBKU

Te wrażenia ze żłobka Zw. Pr. Ob. Kob. składam w hołdzie Prezesce Związku Pani Janinie Kirtiklisowej.

Dzieci zasiadły na lilipucich, białych krzeselkach. Będzie obiad. Ale nudno czekać, więc ciągle się rozbiegają po kątach. Pani łapie je, zrzędzi i znowu każe siadać. Dzieci są wesołe i dlatego trudno im słuchać rozkazów. A Bronek znowu przy umywalce... Tak ślicznie, gdy woda się leje...

— Plus!... plus!... plus!... — wołają dzieci.

— Be, Bronek! Niegrzeczny chłopczyk — irytuje się pani.

— Niu, niu, niu! — wygraża mu Lalus, półtoraroczny ulubieniec pani.

Pani się rozchmurza. Nie, bo ten Lalus, to parady!

A Wercia siedzi cichuteńko koło pieca przy stole. Jest sama. Lubi tu siedzieć. Nie wstaje nigdy, kiedy nie wolno. Wszystko wie, co robić należy w tym białym domu, który ją przed kilku miesiącami przygarnął. Liczy 20 miesięcy życia, ale zadziwia smutną mądrością. Teraz właśnie z maleńkiej nóżki zsunął się jej rozklapany chodaczek. Wercia schyla



Hala.



Renia usnęła.

się poważnie, odyma usteczka, marszczy czoło i doprowadza garderobę do porządku.

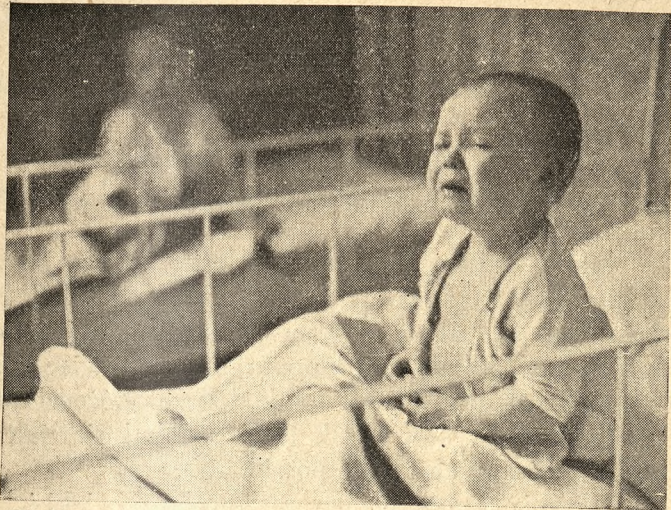
— Wercia cacy! Kochane maleństwo — słychać głos pani. — Wszystko sama robi.

Wercia przyjmuje pochwałę z tą samą powagą. Pani wieleby dała, żeby ją rozbawić. Wercia nie chce się śmiać nigdy. I nigdy też nie płacze. A oczy starszych wilgotnieją, kiedy patrzą na Wercię. Bo ona jedna wyrazem najsmutniejszej twarzyczki więcej powie o życiu, niż tyle mądrych książek. Wercia już poczuła, że na świecie jest za mało miejsca dla wszystkich. Zniosła już tyle szturchańców. W ciemnej izdebce ciągle komuś zawadzała. Wszędzie stukały ciężkie, twarde buciary i zimnem wiało od spękanych desek podłogi. Gdy płakała, matka odchodziła od balji czy garnków, podginała mokrą sukienkę i sadzała dziecko na płachcie koło pieca. Ale najczęściej ktoś nią potrząsał i krzyczał groźnie:

— Sza! sza! A niechaj tego bachora! skwierczy i skwierczy!

Wercia nauczyła się milczeć: może przeczuła, że jest niepotrzebna? Poza nią było jakieś dziwnie hałaśliwe życie, spocone i brudne, kotłujące się w czterech ścianach, jak w niesamowitym garnku, a trzaskające ciągle drzwiami, od których lekliwie stroniła w swoich odkrywczych wędrówkach. Pamiętała gwałtowne uderzenie, które ją odrzuciło, jak mały tłomeczek, aż pod drugą ścianę.

To życie zupełnie się z nią nie liczyło, to też Wercia starała się być niewidoczna. Żył za kufrem, pod stołem, lub we framudze między piecem a ścianą. A teraz znalazła się w Żłobku dziennym, dziwnym bia-



Laluś zapłakał.

łym domu, gdzie królowały dzieci. Tu możnaby było zacząć życie na własną rękę, ale Wercia nie chce.... Jest ciągle zgaszona, chociaż posłuszna i chętna. Jednak zawsze wzdycha z ulgą, gdy matka przynosi ją rano w zakłopotanym pośpiechu i zostawia tym białym paniom. Wercię tu kąpią, ubierają, Wercię tu całują „swoje” panie i te inne, które czasami przychodzą i robią pachnące zamieszanie. Wercia nie rozumie tego wszystkiego. Ale chwilami jest tak dobrze! Ogarnia ją słodkie znużenie od nadmiaru wrażeń. Teraz w oczekiwaniu obiadu składa wątle łapiątka na stoliku i opiera na nich bladą twarzyczkę. Serce bije równo, a słoneczną izbą, pełną dziecięcej ruchliwości, przepływają senne fale.

— Wercia nie będzie spała — mówi ciepły głos, którego nie trzeba się obawiać. — Wercia ma smaczny barszczyk. Niam... niam!...

Łyżka jest duża i nieposłuszna, a miseczka łatwo się przewraca, ale Werci nie trzeba pilnować. Wkładają jej ceratowy śliniaczek i dziewczynka ze skupieniem i ostrożnością przystępuje do pracy.

Tymczasem wścibski Bronek znów dłużej przy umywalce, Laluś drepce za panią i nie chce sam brać z miski, a ośmiomiesięczna Lodzia tak krzyczy, że to aż jeść przeszkadza. Ona wymaga, żeby ją pierwszą karmiono.

A tu drzwi się otwierają i ktoś wchodzi. Lodzia milknie na chwilę, ale potem znów zaczyna. Niełatwo ustępuje.

— Fe! — mówi nowa pani. — Aj, aj, jak nieładnie. Dzień dobry! Cóż tu się u was dzieje?

— Obiad — odpowiada opiekunka.

Wercia poznaje nowoprzybyłą. Ta pani zawsze ma cukierki. Inne dzieci odkładają łyżki i, uśmiechnięte, spoglądają na gościa. Jedno wybiega i wyciąga okrągłe rączki. To najśmielsza — dwuletnia Hala.

Pani się rozczuła. Pani całuje Halę niezliczone razy. Hala jest ładna i tłusciutka. Zawsze gubi cho-

daczki. I teraz ma tylko jeden. Druga nóżka jest gola.

— Kielki! — domaga się Hala.

Pani łapie Halę za nóżkę.

— Cukierków chcesz? A gdzie pantofel?

Hala śmieje się rozkosznie, kręci główką i rozkłada ręce. Niema! Niema!

Wtedy wstaje Wercia. Idzie za piec i coś stamtąd wyciąga. Ze ściągniętymi uważnie brwiami podaje to „swojej” pani.

Śmiech! Bo to chodaczek Hali.

A „swoja” pani mówi:

— Wercia jest najmądrzejsza! Ona wszystko wie.

Ale tamta pani pieści niesforną Halę, która pozwala sobie włożyć pantofel.

Przyniesiono kotleciki z kaszką. Trzeba znów jeść. Dzieci jedzą, a Wercia zerka na obcą panią. Bo pani karmi Halę, a Hala grymasi i ciągle patrzy na teczkę, leżącą na bocznym stole. Myśli, że w niej pani przyniosła cukierki.

Dzieci chcą prędko zjeść obiad. Czują już rozkosz poobiednich przysmaków.

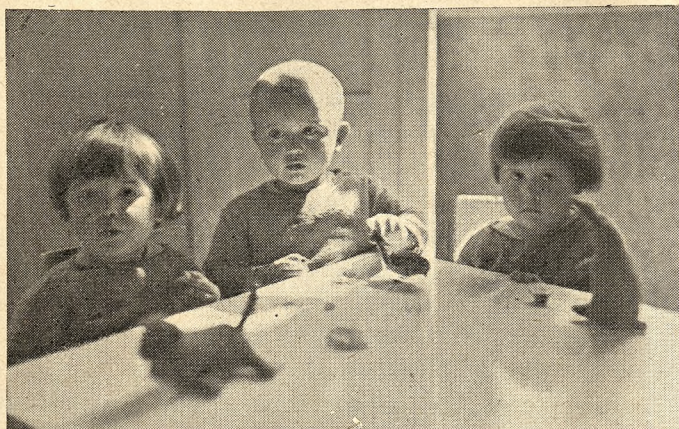
Wercia nie śpieszy się. Nie można rozsypywać kaszki. I nie myśli o cukierkach. Napelnia ją ciepła sytość i wielki, senny spokój. W powietrzu wirują przeświecione pyłki i opadają na oczy, jak czarodziejski mak. Powieki się przymykają, rysy nabierają słodczy. Anielski wyraz niewinności rozkwita w kątach usteczek.

Obca pani patrzy na Wercię i mówi:

— Boże, jakie to dziwne stworzonko! Werciu,



Wercia.



Hala, Bronek i Renia.

maleństwo najśladzkie, otwórz oczęta. Zjadłaś obiadek? Zaraz pójdziesz lulu. A tu masz cukierek... jeden... drugi... Umiesz zdjąć papierek?

Wercia kiwa poważnie główką i jest już w objęciach „swojej” pani. Z westchnieniem otacza jej szyję ramionkiem. Teraz ją umyją, rozbiorą, położą do pachnącego chłodną czystością łóżeczka... Kołderka ogarnie ją narazie lekkim dreszczem, a potem przytuli się do ciała, stanie się mięciuchna i ciepła i razem z poduszką rozhuśta Wercię wysoko, wysoko i opuści łagodnie na puchowe, różowe dno, w śpiewającą senną łódeczkę.

Już Wercia leży, ale nie śpi, tylko szeroko otwartymi oczyma wpatruje się w przeciwległe łóżeczko Hali. Halę rozbiera tamta pani. Hala wykrzykuje, macha nóżkami, a Wercia przygląda się tym psotom i niewiadomo, dlaczego, twarzyczka jej staje się jeszcze smutniejsza. Nareszcie Halę okrywają kołderką. Ale ona woła:

— Pani! Pani! Daj Ali cacy!

Hala chce bransoletki. Pani się waha. Ale musi ustąpić.

Hala wsuwa ozdobę na swoją rączkę aż do ramionka i mówi dumnie:

— Ala — pani!

Znowu ją całują. Halę zawsze całują. Teraz Hala siada i rozkazuje:

— Ala cie apci! Ala cie pciapciupčki!

Pani jest zdumiona. Nie rozumie.

A Hala krzyczy i piastką wali po poręczu łódeczka.

— Pciapciupčki!

Więc zakłopotana pani idzie spytać, czego Hala sobie życzy. Opiekunka tłumaczy.

— Ależ to jasne. Ona chce wstać i włożyć chodaczki.

Aha! Pani aż pokłada się ze śmiechu.

— Nie można wstać! Trzeba lulu... a!... a!... a!... kotki dwa!

Hala zrzuca nogami kołderkę, więc dostaje znowu dwa cukierki, żeby była grzeczna. Hala robi dużo kłopotu, mimo to wszyscy się do niej śmieją. A Wercia wcale nie robi kłopotu, dlaczego więc dostała mniej cukierków? Ale i tak dobrze! Łódeczko tuli i kołysze, kapryśny głosik Hali podskakuje, jak piłeczka, na sennych falach powietrza.

Wercia mruga, mruga, przymyka powieki i... już jej niema. Rozpłynęła się w słonecznej smudze, w pogwarkach zasypiających dzieci. Hala też się zmęczyła, sapie cichutko i ściska bransoletkę pani. Pani musi czekać, aż kapryśnica zaśnie. Wtedy odzyska swoją bransoletkę.

Józik czegoś mruczy i kręci się po łódeczku, a Luluś nagle zatęsknił za „swoją” panią, więc podniósł się i zapłakał bezgłośnie rzęsiłymi łezkami. Dostał cukierek, ale nie zaraz przestał płakać. Renia chciała również wstać, aby zobaczyć, co się dzieje, ale sił jej zabrakło, ustka się rozchyliły, powieki opadły, zatrzepotały ciemne rzęsy... i musiała ulec sennej przemocy.

Wszystkie łódeczka oniemiały. Pani pchnęła okno i ciepłe słonko bezszelestnie i prędko przebiegło złotymi stopkami po pokoju. Zapachniało świeżością, bo wniesiono kubły z wodą i zmywano podłogę oraz lili-pucie sprzęty. Dzieci tego nie widziały. Były gdzieś daleko. Obie panie — swoja i obca — uśmiechnęły się do tej słonecznej ciszy w Żłobku i do siebie. Potem obca pani pochyliła się nad łódeczką Werci i pocałowała jej chłodny, blady policzek.

— Żeby się ona tylko uchowała! — szepnęła do opiekunki.

— Narazie jest zdrowa. Bóg da, że wszystko będzie dobrze..

— Tamta zato jest pełna życia — uśmiechnęła się obca pani, zbliżając się do śpiącej Hali. Mała była rozkoszna. Różowe usteczka miała radośnie rozchyłone. Na jednej z rączek coś się złociło. Była to zapomniana bransoletka. Opiekunka zdjęła ją ostrożnie, a obca pani musnęła ustami tłustą, skrzywdzoną we śnie piastkę dziewczynki i opuściła Żłobek uśmiechnięta i załawiona.



ADAM CZARTKOWSKI.

BLADY CIEŃ FLORENCKI

Przyczynek do losów Anieli M.

Dnia 21 sierpnia 1838 r. pisał Słowacki do matki:

„Cóż ty mówisz na to, najdroższa moja, że ja jeszcze we Florencji. Nie jest to żaden kaprys, który mnie tak długo tu trzyma, ale to, że znalazłem ludzi, którzy mnie lubią, kochają i chcieli zatrzymać, więc jeszcze na jakiś czas zostanę. Tymi ludźmi przyjaznymi jest dom Moszczyńskich, kuzynów Zenona (Brzozowskiego, towarzysza podróży Słowackiego na Wschód), i ta panienka, od której on odebrał niegdyś rekuze, która go w melancholję i w dalekie kraje zagnała. Sam stary M(oszczyński), dobry i gadający wiele człowiek, do tyła mi robił grzeczności, że nareszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczaił mnie do tego, że co wieczora prawie z nim na gawędzie czas tracę... Panna M(oszczyńska), dla wszystkich dość zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem. Kuzynka ich, panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy przychodzę, słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w P(aryżu) nie znalazłbym nikogo, coby mnie sprzyjał, a tu są tacy, co mnie z otwartymi rękami przyjmują“...

W liście zaś z Paryża, pisanym w listopadzie 1839 r., dość obszernie opowiedział, jak to się „znajdował w położeniu aspiranta“, jak przez osoby trzecie początkowo, a potem zupełnie wręcz ojciec panny Anieli zachęcał go do rozpoczęcia starań o nią („popracuj nad sobą, popracuj, zakochaj się — a ja cię ożenię“), jak na to panna płonęła — i jak po pewnym czasie wszystko się rozchwiało — „wszystko oziębło“.

„Pożegnanie moje było zimne, a cała ta awantura zostawiła mi tylko gorycz w sercu i niepewność, czy się nie urągano ze mnie.... Może z mojej strony było nadto dumy“...

Wreszcie wśród liryków jego znamy dwa, zatytułowane „Do Anieli Moszczyńskiej“, z których jeden tak się zaczyna:

„O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zaproszyć!“...

drugi zaś:

„Ogniem, żalością wre zamknięte łono“...

i kończy się:

„Jaka ty jesteś zimna. Lepiej w trumnę!“.

Tyle o tym florenckim epizodzie przekazał sam poeta. I niewiele więcej wykryli jego biografowie. Nawet Hoesick w swej tak drobiazgowej „biografji psychologicznej“ (Kraków 1897) nic właściwie po za opowiedzeniem swojemi słowami listów jego nie daje.

Cokolwiek danych o Anieli Moszczyńskiej, tym prototypie Anieli z „Beniowskiego“, zebrał jeden tylko Leopold Meyet w objaśnieniach do swego wydania „Listów Juliusza Słowackiego“ (Lwów — 1899), gdzie w II-gim tomie na str. 108 podaje, że była to córka Józefa Moszczyńskiego z Ryżawki w pow. humańskim, a wnuczka Adama M., plenipotenty Szczęsnego Potockiego, marsz. konf. targowickiej, a na str. 124, że przyczyną zgonu jej był, podobno, nieszczęśliwy skok na głowę w kąpieli morskiej.

Tak więc tylko blady cień Anieli Moszczyńskiej, przesuwając się przed nami...

I oto zupełnie przypadkiem — szczęśliwym przypadkiem — wpadła mi w ręce garść wiadomości o tym cieniu, któremi śpieszę się podzielić z tymi, dla których ma urok odgrzebywanie popiołów przeszłości.

Oto w łaskawie mi dla innych celów używanym¹⁾ wyjątku z niedrukowanych i nieznanych jeszcze badaczom pamiątek Józefy z hr. Moszyńskich hr. Szembekowej — znalazłam dłuższy ustęp, odnoszący się do rodziny Józefostwa Moszczyńskiego z Ryżawki, a który zaznajał nas również ze smutnym losem Anieli. Oto on.

„Najczęstszymi i najukochańszymi gośćmi (w Ładwżynie u Ludwikostwa Sobańskich) i krewnymi byli Józefostwo Moszczyński. Ona — siostra p. Ludwika Sobańskiego, zadziwiająca pięknoscią zupełny kontrast z nim stanowiąca (*L. S. był bardzo brzydki*). Wróciwszy z Paryża, gdzie kilka lat spędzili dla wychowania starszej córki Aleksandry, Alą zwanej, zamieszkali w Ryżawce, majątności bardzo rozległej, ale gdzie rezydencji odpowiedniej do ich położenia i przyzwyczajęń nie było i gdzie Alą, wychowana za granicą bez pojęcia o życiu wiejskiem, a wśród wymagań wyrafinowanej elegancji, mimo wielkich zasobów wykształcenia, talentów i zajęcia, jakie miała, kształcąc sama swą młodszą siostrę, dosyć się nudziła.

Polubiłyśmy się bardzo, ona — bo ją interesowało moje położenie, rozwinięcie przedwczesne i przy wielkiej żywości powaga sądów i rozmów; a ja — bo to była niezwykle miła, rozumna istota, której przyjaźń, jako dorosłej panny i to tak ogólnie admwowanej, nadzwyczajnie pochwalała mnie, dziecku 13-letniemu. Wiele mi ona korzystała była, nie tylko jako obcowanie z tak wyjątkową istotą, lecz pomocna ona się stała bardzo pani Mikuckiej, pożywszy jej swoje zeszyty z nauk, pobieranych od najlepszych metrów i profesorów francuskich, któremi p. Mikucka do nauczania mnie się posługiwała.

Ojciec jej, choć bardzo na mnie łaskawy, wydał mi się już wtedy dość nudny, literat, erudyta i egoista i w opinii tej utwierdziłam się w wiele lat potem, kiedy widziałam go w Paryżu.

Jego żona niebardzo szczęśliwa być musiała, jak fama niesła, ale nigdy się na to nie poskarżyła; wszystkie jednak uczucia pani Róży i pana Ludwika (*Sobańskich*) do niej były skierowane, bo on zanadto odbijał typem swoim zagranicznym, trochę zużytym, eleganckim od staropolskiej atmosfery Ładwżyna. Wyglądał, jakby się tam nudził, a i sam nie do zbytku nas bawił. Ona zato, równie wykwintna, staranna koło swej osoby, łagodna, rozumna, uprzejma, miała w mowie głos nieporównanego wdzięku: słuchało się go, jak najpiękniejszej muzyki. Prawdziwa wielka pani z europejskich salonów pełna była hartu, energii, rezgnacji, których dowodziła, kierując sama losami rodziny.

¹⁾ Za pośrednictwem p. min. Kajetana Morawskiego przez hr. Janową Mycielską z Wiśniowej — za co składam Im serdeczne podziękowanie.

tak skromnie i bez przechwalek, że tylko najbliżsi mogli się domyślać, że życie jej nie było takie ładne, jak to jej spokojne, pogodne oczy mówiły.

Bawiła u nich w Ryżawce Helena Łączkowska, krewna ich, której kronika skandaliczna, nie wiem, słusznie, czy nie, ale powszechnie — inną jeszcze rolę, gdy ona i pan Moszczeński oboje byli młodzi, przypisywała, — a która później stała się mimowolną przyczyną nieszczęścia, jakie na Moszczeńskich spadło.

W roku 1832-im czy 1833-im została nagle tknięta paraliżem, który jej odjął nie tylko władzę w całym ciele, ale naruszył i władzę umysłową. Chorowała długo i okropnie, pielęgnowana przez wszystkich, i jeżeli nawet były jakie uzasadnione zarzuty, które ciążyły na jej przeszłości, zupełnie się ich pamięć zatarała w powszechnej litości, jaką jej cierpienia, a potem jej stan wzbudzał u wszystkich. Gdy ją poznała, powracała już niby do zdrowia, lecz było to zupełne dziecko, które na nowo chodzić, mówić, i myśleć się uczy, i zupełnie tej samej opieki, co niemowlę, wymagała, na której też jej nie zbywało, bo pani Moszczeńska i Ala prawdziwymi matkami jej były.

Osobiste moje z niemi stosunki przerwały się z wyjazdem do Czernigowa (w 1834 r.) i wtedy zaczęło się dla nich pasmo nieszczęść, które tylko z korespondencji z Alą i opowiadań pani Róży Sobańskiej opowiedzieć mogę.

Gdy młodsza córka podrosła, Moszczeńscy wyjechali znowu zagranicę, bo było to widzimisię ojca, że staranne wychowanie, jak on je rozumiał, tylko w Paryżu dać można, nie licząc się z tem, co dla przyszłości i usposobienia córek szkodliwego w tem być może. A jednak na Ali mógł już nabyć tego doświadczenia, bo choć miała poczciwy grunt matki, była jakaś zgorzkniała, znudzona, niezadowolona, czasem smutna, trochę drwiąca²⁾ — jednym słowem robiła wrażenie, że przesadzona z Paryża, do którego nawykła, do Ryżawki, gdzie innych przyjemności — jak obce dla niej wiejskie spacerki, zajęcia i sąsiedztwa, mieć nie mogła — szczęśliwą się nie czuła.

Wyjechali jednak i z młodszą, tem bardziej, że zdrowie obu córek potrzebowało porady lekarskiej. Zabrali ze sobą Helenę Łączkowską, która nagle ze stanu dzieciennienia przeszła we Florencji w zupełne obłąkanie.

Ala przeszła była niedawno zapalenie płuc i dosyć jeszcze była nędzna i osłabiona; utrzymywano, że pokutuje za to, że, mając *śliczną figurę*, bardzo się ścisnęła, o czem nieraz słyszałam z akompanjamentem obrocza duchowego, abym przypadkiem przez zbytek sympatji dla Ali i w tem jej nie zechciała naśladować. Muszę przyznać, że *co do smej urody, była trochę w pretensjach*, których ja u niej pojąć nie mogłam. Oprócz ściskania się, inny tej słabości dostrzegłam symptomat. Dekoltować się nie mogła, mając całe plecy w szwach od poparzenia, gdy dorosła już panną na balu w Obodówce zapaliła na sobie przypadkiem suknię i o mało żywcem się nie spaliła, a blizny, powstałe skutkiem tej katastrofy, na całe życie jej pozostały. Uważałam, że jej to bardzo przykre było, choć oprócz szwów na plecach w niczem niemi zszpeciona nie została. Dopiero po tem zapaleniu płuc z rozkazu doktora zaniechała nie tylko ściskania, ale zupełnie używania gorsetów.

Ale wracam do Łączkowskiej. Pomimo obłąkania, przyswajając ludzi, do pilnowania takich chorvch przywykłych, nie oddali jej do szpitala, tylko we Flo-

rencji czekali możności pojechania z nią dalej do Rzymu. Uspokoila się istotnie o tyle, że już nie była ciągle pod okiem dozorców, czasem nawet Ala lub pani Moszczeńska sam na sam z nią zostawały. Nieszczęście chciało, że właśnie gdy była sama z Alą, jakiś obłąd ją porwał i rzuciła się z balkonu na ulicę. Ala jednak tak szybko skoczyła z ratunkiem, że miała czas schwycić ją za spódnicę i w podwojeniu sił, jakie daje wysilenie nerwowe u najsłabszej czasem istoty, utrzymywała tak tę szamocącą się warjatkę, dopóki na jej wołanie nie zbiegli się słudzy i napowrót na balkon jej nie wciągnęli. Coś sobie jednak wewnątrz Ala uszkodziła, bo zaraz potem krew jej się ustami rzuciła i stan jej był bardzo groźny. Polepszył się jednak, a Łączkowska, lepiej już pilnowana, uspokoiła się zupełnie, więcej ataków nie miała, wpadła tylko w rodzaj idyotycznej hypokondrii i w swoim pokoju pewnej nocy się powiesiła. Ala, poszedłszy do niej, jak zwykle zrana, żeby się dowiedzieć, jak noc spędziła, pierwsza trupa jej wiszącego ujrzała; takie to na niej wrażenie zrobiło, że się rozchorowała i w parę tygodni potem umarła.

W listach, jakie od niej miewałam w Czernigowie, wspominała raz, że stara się o nią młody człowiek, który jej się podoba, Władysław Wodzicki, lecz rodzice go sobie nie życzą: „*donc malheureusement il n'en sera rien*”. Malheureusement było przemazane, jednak nie dość starannie, abym tego słowa przeczytać nie mogła, a cały ton listu wyglądał mi na zabalamucenie się trochę tym, który potem, przezwany Fichtre, nikogo swoją osobą nie uszczęśliwił, rozszedłszy się zaraz po ślubie z żoną — księżniczką Lubeczką, która, otrzymawszy rozwód, poszła za Zbijewskiego, jednego z moich towarzyszy lat dziecińczych z Dol-ska.

Nie na tem koniec nieszczęść tej rodziny. Po skończonej edukacji młodszej córki Jadwigi, zwanej Hedi, powrócili do Ryżawki i zaczęli ją wprowadzać w świat. W Obodówce mieszkała prezesowa Sobańska, matka pani Moszczeńskiej; która prowadziła otwarty dom, dawała bale — i u której pani Moszczeńska, zmuszona pojechać na kontrakty kijowskie, zostawiła córkę. Była tam wtedy także pani Róża Sobańska z córkami, gdyż za kilka dni był zapowiedziany duży bal w ostatki, na który całe grono pańienek przygotowywało toalety, naradzając się, co która włoży. Hedi miała różne stroje, przywiezione z Paryża, i wybór jej padł na jakąś toaletę białą z wieńcem białych róż. Wśród wesołej rozmowy pańienkiej o balu Hedi się odezwała ni stąd ni zowąd: „Tak mi w tem ładnie, że gdybym balu nie dożyła, pamiętajcie mnie w niej pochować”.

Oczywiście, wzięto to za żart niestosowny, który im przykre zostawił wrażenie. Za parę dni Hedi dostała na pozór niewinnego kataru. Babka jej, Prezesowa, umieściła ją obok swego sypialnego pokoju i budząc się w nocy, niespokojna o tę powierzona jej jedynaczkę, nadśluchiwała często, co tam się u niej dzieje; usłyszawszy stękanie, zapytała: „Hedi, co tobie?”. Nie odebrawszy odpowiedzi, poszła do jej pokoju i zastała ją w malignie. Był to początek gwałtownego zapalenia mózgu, na które w parę dni umarła, zanim zdołano nie tylko wezwać, ale nawet zawiadomić matkę, która wróciła po pogrzebie, nie spodziewając się niczego...

²⁾ Podkreślenia te i następne należy porównać z charakterystyką Anieli w „Beniowskim”, pieśń I. oktawy 78, 79 i 83.

Straciwszy to ostatnie dziecko, nie mogli się Moszczeńscy dłużej osiedlić ani w Ryżawce, ani gdzieindziej w kraju i wynieśli się raz na zawsze do Paryża, sprzedawszy majątek p. Serafinowi Kossowskiemu³⁾.

Takie są dzieje Moszczeńskich i ich córek, z których Ala — właściwie Aleksandra a nie Aniela — odegrała pewną rolę w życiu Słowackiego.

„Przyznam ci się — pisał poeta do matki w cytowanym już liście z listopada 1839 r. — iż kiedym się o jej śmierci dowiedział, cierpiałem... Bo choć to było w niej chwilowo tylko myśla, aby mnie wybrać z tłumy i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać litosnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu... Ileż razy, chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i spuszcza oczy przede mną, pyta się: dla czegoś mnie nie kochał? Śmierć ją upiękniała w moich oczach...”

Lecz czy się nie łudził poeta? Czy czasem w wyżej przytoczonych wspomnieniach nie znajdujemy rozwiązania zagadki jego niepowodzenia? Czy między nim, a zimną, rozumną, marmurową Alą nie stanął właśnie ów Władysław Wodzicki? Czy ojciec — do bry i wielomówny p. Moszczeński — nie popierał czasami tak wyraźnie poety — jako antidotum przeciw temu, kogo sobie dla córki nie życzył? Twierdząca odpowiedź wydaje się zupełnie możliwa, szczególnie jeśli się zważy, że wszystkie fakty synchronicznie doskonale się układają.

³⁾ Pewne szczegóły o rodzinie Moszczeńskich, uzupełniające te dane i zupełnie z nimi zgodne, już po napisaniu tego artykułu znalazłem w „Pamiętnikach Xawery z Brzozowskich Grocholskiej” (Kraków 1895), nie wypuszczonych na rynek księgarski. Nie przytaczam jednak tych wiadomości, odkładając to do innej sposobności.

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA.

O TEM, JAK PANI PISZĄCA FRUWAŁA W OBŁOKACH

Nasze babcie (Karolcie, Kamilcie i Kornelcie) lubiły marzyć... Marzenia te nazywano ironicznie: „fruwaniem w obłokach”... My, wnuczki (Boby, Niny i Lole), też „fruwamy w obłokach”, ale to nasze „fruwanie” jest zupełnie realne i dosłowne i nie ma nic wspólnego z rozmarzeniem naszych babek. To nasze „fruwanie” — to zwykłe przeloty kobiety współczesnej samolotem pasażerskim, przeloty, którym należy odjąć pierwiastek „bohaterstwa” i „poezji”, jaki im zbanalizowana fama ogólna „par force” narzuca. Bohaterstwo?

Czyż można mówić o bohaterstwie, kiedy się widzi roześmianą Josephinę Backer, „lecaącą” na gościnne występy z Paryża do Londynu? Lub kiedy nasza Szpyrkówna leci do Lwowa po honorarium autorskie? Albo kiedy dwanaście manekinów firmy Paquin „leci” do Brukseli demonstrować najnowsze modele tualet? Kiedy rumuńska kapitanowa (Madame X...escu) codziennie „lata” na swej awionetce z Bukaresztu do swej willi podmiejskiej?

Nie, stanowczo najwyższy czas, abyśmy przestali mówić o komunikacji lotniczej, jako o wyczynie bohaterskim. Najwyższy czas, abyśmy przestali widzieć w przelocie „Warszawa—Katowice”, lub „Gdańsk—Lwów” poezję „podniebnych lotów”, budzących refleksje „ikarowych skrzydeł”.

Najwyższy czas.

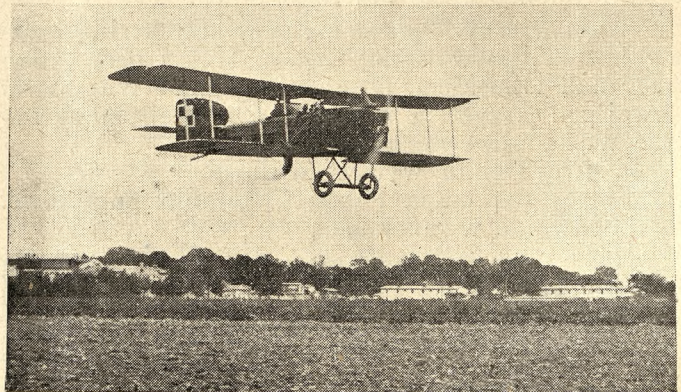
*

Jestem (według słów Kornela) t. zw. „panią piszącą” — posiadam więc w organizmie bakcyl „poezji”... Poezja ta jednak rozwiała się wśród obłoków mego przelotu Warszawa—Lwów. Bo trzeba wam wiedzieć, że te „srebrzysto-białe”, „puszysto-sklębione” i „pomykające chyżo” chmurki są przy bliższym poznaniu antypatyczne.

A zaczął się ten brak poezji od razu na wadze w Warszawie. Zważono mnie (z parasolem i torebką). Zważono mego męża (z pledem). Zważono nasze walizki i nasz neseser. Miałam przez chwilę wrażenie, że jestem żokejem, który za chwilę stanie do „handicap'u”...

Na lotnisku mokotowskim, z którego już kiedyś startowałam na samolocie wojskowym, pełna zachwytów i górnych aspiracji à la Amy Johnson — tym razem czuję się nieswojo na widok wąskiej, zamkniętej kabiny trzymotorowego Fokkera i współczuję serdecznie doli Jonasza w... brzuchu wielorybim...

Dla odzyskania kontenansu zjadam „lody pocieszenia” pod pasiastym parasolem cukierni, obserwując starty wojskowych samolotów, „czarną halę” — tę na prawo (w której straszy) i nowoczesnego „Bartka Zwycięzcę” w haubie lotniczej i kombinezonie, który w rękę dzierży duże „zdobyczne” chorągwie.



...Jeden miraż nad lotniskiem...



Pani pisząca przywdziewa czasem strój pilotki.

Kto zacz? O, pozbawiona poezji, współczesności! Bartek Zwycięzca — to pilot, który za chwilę na tarasie cukierni zawiesza chorągwie dwóch zaprzyjaźnionych narodów: czerwono-żółto-granatową rumuńską i biało-amarantową polską — dla upamiętnienia otwarcia nowej linii lotniczej Warszawa—Bukareszt. Dlatego to na wykwintnej kabinie samolotowego wnętrza napisano: „Nu va plecati in afara”, co zaraz pod spodem wytłumaczono po francusku i po polsku (ale nie ciekawego).

Wsiadamy.

Na linii Londyn—Paryż nikt nikogo nie żegna, mimo, że tam się leci nad La Manche'm; ale tu, w Warszawie, zbiera się grupka osób, które wspominają dziada Wojciecha, co to uchodził w rodzinnej tradycji za bohatera „bo pojechał koleją z Siedlec do stolicy, choć życie mu było miłe...”

Wata w uszy. Opasać się przy starcie. Elastyczne rulowanie po wysokiej trawie. Huk i pęd. Jeden virage nad lotniskiem. Drugi virage nad Warszawą. Z lewej pod skrzydłem Wilanów. Z prawej pod skrzydłem Wisła, prześwietlona do dna.

Z lewej Dęblin, wycięty w darni.

Przedemną mapa Polski i.. torebki papierowe. „Fruwanie w obłokach”.

Oto podlatujemy pod chmurkę „srebrzysto-białą i zlekka zaróżowioną od zachodu”... Dostajemy się w jej cień, w cień, który ciemną plamą przesłania pasma zaoranego czarnoziemiu i płaty zeschłej, szarej gliny.

W górę, w dół... Coś tak, jak piłka tenisowa, podbita niepotrzebnie i opadająca szybko...

Nie ma mowy o przestachu. Przestach jest tam, gdzie jest niebezpieczeństwo, a my wszyscy wiemy, że niebezpieczeństwa nie ma. Ale jest... nieprzyjemnie... Asocjacja myślowa przypomina mi dawno widzianą scenkę kabaretową, w której dżalog prowadzili... „wnętrzości ludzkie”!... a więc: „poetyczne serce”, które grał Kuncewicz, i „prozaiczny żołądek” w interpretacji Gierasieńskiego, szybko oddychające „płuca” i zaniepokojoną konfliktem (serca i żołądka) „wątrobę”, której grozi „zalanie żółcią”...

Moje serce — milczy... Żółć mi nie grozi zalaniem, bo podobno jestem „kobietą bez żółci”; zato uszy moje poprzez watę wołają: „gwałtu — co się dzieje!” a żołądek protestuje na to lekceważące „natrząsanie się z niego”, które bierze za osobistą obrazę; płuca zaś duszą się, nie mogąc odetchnąć „pełną pierś”. Mózg bierze w tym konflikcie najmniejszy udział. Wyparowały z niego jakgdyby wszystkie refleksje na temat „znikomości tego świata” i odmiennego punktu widzenia, tak ze 150 metrów ponad poziomem ziemi („Nisko lezie, psiakość” — podsłuchuję powiedzenie pilota-pasażera).

Nie mogę patrzeć na... torebki papierowe i współczuję Szpyrkównie i Josephinie Backer.

Otwieram okno...

„Lecenie z wichrem w zawody” ratuje sytuację i moją poezję...

Lasy pod prawem skrzydłem przypominają kępki mchu, a ziemia nabiera wypukłości i światłocieni. Niebo jest niebieskie. Tylko te obłoki! Znów jeden...



...Mieliśmy „wiatr w ogon” i przylecieliśmy w dwie godziny...

W górę, w dół... O poezjo, którą „winda rzeczywistości” ściąga „z obłoków” na ziemię!

Niespodziewanie pokazują mi z lewej strony... Lwów?! Dziwię się przyjemnie... Okazuje się: „miliśmy wiatr w ogon”, wobec czego przylecieliśmy w dwie godziny... Virage i... cisza na ziemi. Wyjmuje watę. Odpinam pasy.

Nie mogę uwierzyć w to, że oddycham podgórską łąką lotniska lwowskiego.

Wysiadając, twierdzę, że niema nic bardziej przyjemnego, jak czuć mocno „grunt pod nogami”.

Już Lwów... no, no!... I pomyśleć, że, będąc małą dziewczynką, jeździłam do Lwowa „za granicę”, przez Kraków, w 24-ry godziny! Potem, na „Targi Wschodnie” tłukłam się 12 godzin w wagonie kurierskim! Wkońcu rekord szybkości — 2 godziny!...

Z wdzięcznością więc patrzę na białoczerwone nalepki polskiego „Lotu”, które dekorują nasze walizki...

Noc w wagonie nie grozi mi. Spędzam ją w hotelu, który jest tak elegancki, jak paryski „Georges V”, który takie ma łazienki (przy każdym numerze), jak hotele Londyńskie i tak jest dywanami wysłany, jak hotele Monte Carlo.

Jedząc zimne mięsa z sosem majonezowym w owalnej sali restauracyjnej, ze współczuciem myślę o tych, którzy słyszeć będą całą noc monotony stukot wagonu w drodze „Warszawa—Lwów”. A jedząc kureczkę z mizerją, daję zapomnieć mojemu żołdaczowi, jak przykro przed chwilą z nim się obchodzono. Mówię mu więc:

— Mon ami, rzućmy tamto w niepamięć...

Słucham romansów cygańskich i dochodzę do wniosku, że komunikacja samolotowa... to bajeczna wygoda.

Wygoda — tak!...

Tylko, na miłość Boską! nie mówcie mi o bohaterstwie i o poezji, bo „fruwanie w obłokach” pasażerskim samolotem — to proza, która nawet „pania pisząca” potrafi ściągnąć „z obłoków na ziemię”.

Z TEATRÓW

„Przygody dzielnego wojaka Szwejka” — sztuka w 3 częściach (16 obrazach) podług powieści Jarosława Haszka. Opracowanie sceniczne Marjana Hemara. Reżyserja Karola Borowskiego. Dekoracje Karola Frycza.

To, co nam pokazano w Teatrze Polskim, nie jest sztuką: jest zlepkiem szesnastu sketch’ów, z których niemal każdy, oddzielnie wzięty, mógłby być atrakcją przeciętnego rewjowego programu. Osią, około której obraca się ten błazeński młyn, jest postać Szwejka, pół-filozofa, pół-matolka, tragikomicznego pechowca wojennego, którego sławę rozniosła po świecie powieść Jarosława Haszka.

Epickość typu Szwejka, tego Marcholta à rebours, który wprawdzie przegada Salomona, ale nabrać może chyba tylko jeszcze większych od siebie gapiów, tego pomniejszonego i zde-mokratyzowanego Zagłoby, tego c. k. idjoty, tego Szanso Pansy w karykaturze, który w zastępstwie swego pana sam chce być Don Kichotem—epickość jego w tej formie inscenizacyjnej, jaką zastosowano w teatrze Polskim, prawie całkowicie się zatarała. Szwejk żyje dzięki znakomitej grze Jaracza, który połowiczność duchową głuptaka i spryciarza scalil intuicyjnym chwytem w postać człowieczą.

Ale ten żywy człowiek porusza się wśród papierowych pajaców. Nietylko wojsko, wymalowane dowiecnie przez Fry-



„W mieszkaniu Łukasza”, scena z „Przygód dzielnego wojaka Szwejka”. Dzieńkowski, Mierzejewski i Jarkomska.

cza, jest z tektury: ci wszyscy żołnierze, oficerowie, damy pułkowe, lekarze i t. d. — to tylko dwuwymiarowe szablony, syntetyczne skróty, znaki umowne, pod którymi zamazała się, zredukowała do zera psychika ludzka.

Ogniowa próba sceny ujawniła organiczną wadę powieści: brak perspektywy. Haszek stworzył parodię Austrii, ale nie stworzył parodii wojny, poprostu dlatego, że jej całości nie mógł objąć. Podszedł do niej nie od strony frontu, ale od tyłów. Jak maruder, włókł się za taborami, łapczywie chwytając ochłapy komizmu. Bo, jak słusznie powiedział Boy: „Rzeź na froncie, farsa na tyłach — to była Austria”.

Tak, ale to nie była wojna. Jej tragiczne oblicze załamało się w małym zwierciadle szwejkowych błazeństw. Rozwiązał się patos śmierci i zniszczenia, pozostała tylko ohydna maska ludzkiej głupoty, podłości i zezwierzęcenia.

Ciekawą jest rzeczą, jak rozmaite narody zadokumentowały swój stosunek do wojny — po wojnie. Remarque — przedstawiciel Niemiec — protestuje: zrozumiały odruch narodu, który wojnę przegrał. Sherif — angił — widzi w walce frontowej przedewszystkiem konflikt dżentelmena. U Polaków góruje uczuciowa gloryfikacja bohaterstwa, ryzyka i przygody nad świadomością hekatomb. Jeżeli Szwejk ma być wykładnikiem postawy czechy wobec wojny, to ta postawa jest bardzo wyraźna i trzeźwa, ale dla nas mało sympatyczna. I dlatego ostateczne wrażenie, jakie wynosi się ze Szwejka, tego doskonałego widowiska rewjowego, jest wrażeniem ujemnym.

Źródła tego wrażenia trzeba szukać w głębszych pokładach psychiki narodowej. Gdyby Szwejk był brutalny — budziłby w nas zdrowy odruch protestu. Ponieważ jest tylko ordynarny — budzi śmiech i niesmak. Publiczność z hałaśliwą radością przyjmowała tę żywiołową erupcję prymitywnego komizmu. Dała tem dowód, jak mało jej potrzeba, aby ją wprowadzić w dobry humor. Groteska wystarcza.

Dyrekcja Teatru Polskiego zrobiła wszystko, aby widowisku dać efektowną oprawę. Cały ciężar zainteresowania spoczywa na barkach Jaracza. Suma pracy, jaką ten świetny artysta włożył w swego Szwejka, jest zaiste zdumiewająca. Do wykonania roli lekarza wojskowego zaangażowano znanego monologistę Wyrwicza. Dał sylwetkę niezapomnianą sadystycznego małpoluda. Pozostałe postacie — to mniej lub więcej groteskowe manekiny z Szajne katarynki. W epizodach wyróżnili się Dominiak i Małkowski.

Syntetyczne dekoracje Frycza doskonale harmonizowały ze stylem przedstawienia. Podrygiwały tym samym wewnętrznym śmiechem parodji.

S. P. O.

„Miłość czy pięść?” — krotkowiła w 3 aktach K. Dunin-Mar-
kiewicza i M. Fijałkowskiego. Reżyserja Stanisława Stanisław-
skiego. Dekoracje Karola Frycza.

Są sztuki w założeniu ogólnem dobre, w szczegółach nie-
złe, a jednak przechodzące bez wrażenia. Czegoś im brakuje, —
może temperamentu scenicznego, może właściwego tempa, może
ścisłego kontaktu z publicznością? „Miłość, czy pięść?” należy
właśnie do tego rzędu sztuk o niezdecydowanym obliczu.

Pomysł sprzęgnięcia w konflikcie spadkowym dwóch bie-
gunowo sobie przeciwnych światów: świata intelektu z jednej,
a lekkiej atletyki z drugiej strony, uosobionego w naczelnym
postaciach młodego uczonego dr. Butryma i Moniki Rozpędow-
skiej — jest pomysłem raczej komediowym, który mógłby dać
autorom pole do ciekawych notatek psychologicznych na mar-
ginesie akcji.

Sam węzeł intrygi: jednoczesne napisanie dwu różnych
testamentów przez starego kresowego dziwaka trąci nieco mysz-
ką anegdotyczną, ale ma ten posmak starych gawęd, który przy
umiejętnym zastosowaniu mógłby podnieść regionalny charak-
ter sztuki. Nigdzie bowiem chyba nie spotyka się tylu orygina-
łów, co na Kresach.

Środowisko podmalowane zręcznie, z dużą dbałością o dro-
bne szczegóły. Ekspozycja dobra, pierwszy akt daje sporo i so-
czystego materiału, ale w następnych aktach ten materiał ulega
rozwodnieniu, przykrawaniu, sztukowaniu. Akcja ma tempo nie-
równe: czasem rwie z kopyta, czasem potyka się, jak po grudzie.

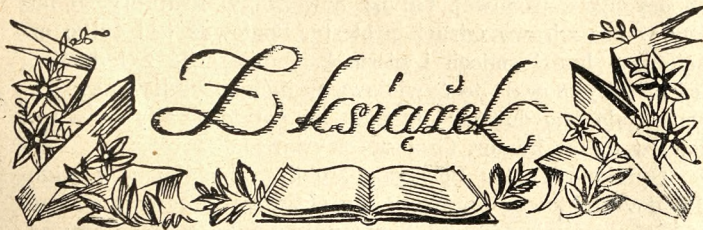
Sztuka ma dosyć mięsa, ale nie ma masy, jest nie-
wygimnastykowana, a wskutek tego nieruchawa. Ta jej bez-
władność i ociężałość udzieliła się aktorom. Grali leniwie, stą-
pali niepewnie, jak po podminowanym gruncie. Czuć było, że
to jest teren, z którym się dostatecznie nie zżyli.

Rezultat był ten, że najlepsze momenty sztuki przechodzi-
ły bez wrażenia, a słabsze budziły wśród widzów premierowych
zbyt jaskrawe dowody nudy. Temperamentowa gra Modzelew-
skiej wniosła żywszy ton do tego zamazanego malowidła, z któ-
rego staranniejsza reżyserja mogła być zrobić zupełnie miły ro-
dzajowy obrazek.

Z wykonawców, poza Modzelewską, należy wymienić We-
solowskiego, który dał trafny typ oderwanego od życia i naiwnego
intelektualisty, doskonałego Karbowskiego w roli rządcy,
Szuberta — w świetnie ujętym epizodzie adwokata.

Sztuka wymaga bezwzględnie staranniejszego opracowa-
nia. Taka, jak jest obecnie, sprawia wrażenie wakacyjnej robo-
ty. Nie można pozwolić aktorom na mamroć pod nosem tek-
stu, jak z łaski. Publiczność przychodzi do teatru, żeby coś usły-
sząć, nie tylko poto, żeby przyjrzeć się charakterystyce aktorów.
Nato wystarcza wizyta w garderobie.

S. P. O.



F. A. Ossendowski. „Lenin”. Wydawnictwo Polskie. R. Wegner
Poznań, 1930 rok.

„Lenin” nie jest powieścią biograficzną. Utwór ten zupeł-
nie niedwuznacznie dąży do stanowiska pracy źródłowej, opar-
tej na nieulegających wątpliwości dokumentach, których waż-
ność podkreśla sam autor „Lenina” w „Wiadomościach Literac-
kich”.

Z drugiej znów strony nie można nazwać książki Ossen-

dowskiego monografią historyczną, gdyż taki rasowy beletrysta,
jakim jest Ossendowski, ma tutaj, pomiędzy jedną a drugą syn-
tezą historyczną, bardzo wiele do powiedzenia. Książka więc
stoi na pograniczu dwóch rodzajów literackich, co jej jednak
bynajmniej na złe nie wychodzi, szczególnie w oczach tych
czytelników, dla których klasyfikacja rodzajowa dobrej książ-
ki nie jest rzeczą najważniejszą. Ale nawet w oczach pedantów-
bibliografów ta nieokreśloność „Lenina” nie będzie grzechem
śmiertelnym: poprostu skrót historyczny jest tu nazbyt gwał-
towny i niewspółmierny z bogactwem psychologicznym i fak-
tycznym, aby bez specjalnego wysiłku można było na jednej
płaszczyźnie twórczej ułożyć wszelkie opisywane sprawy i to
na płaszczyźnie, dalekiej od jakiegokolwiek subiektywizmu.

Ale Lenin żyje w naszej pamięci, t. j. w pamięci swoich
współczesnych, nie tylko jako karta historii, ale i jako indywid-
uum, które, obok spraw ogólnych, miało i swoje osobiste.

Ossendowski pokusił się o stopienie tych dwóch Lenino-
wych dusz w jedną bryłę. Poszedł jakgdyby dobrą drogą, bo
drogą psychologicznego pragmatyzmu. Droga ta jest z jednej
strony przyczyną „powieściowości” książki, z drugiej zaś (to
już zarzut) pewnych nieścisłości psychologicznych. Autor nie
umie utrzymać się na raz obranym stanowisku w stosunku do
swego bohatera. Pierwsze rozdziały jego książki, bardzo piękne
powieściowo, pokazują nam duszę surową, lecz piękną, upor-
czywą w pragnieniu walki o sprawiedliwość, która wydaje się
jej jednoznaczna z polepszeniem doli chłopstwa. Później jednak,
z wystąpieniem Lenina na forum publiczne, czyni jego idą zu-
pełnie w innym kierunku, niż to nakreślała jego młodość. Rodzi
się nienawiść dla samej nienawiści, ideowość gubi się w niej, a
chłop rosyjski jest nieomal tak samo nienawidzony przez Leni-
na, jak i burżuazja. Pragmatyzm psychologiczny zawiódł na cał-
ej linii; gorzej: okazał się zupełnie niepotrzebny. Ossendowski
nawet nie uzasadnia zmian, zaszytych w psychologii Lenina;
ideologia Marxa, która ma niby przysłać krwawe czyny, wy-
daje się poprostu tylko zakłamanym hasłem, gdy chodzi o krew
i zniszczenie.

Poplątanie wątku ściśle historycznego z powieściowym
jest zapewne przyczyną tego dziwnego zjawiska, że książka
Ossendowskiego jest na indeksie zarówno w Sowietach, jak i
w faszystowskich Włoszech. Poprostu ma ona podwójną wymo-
wę. Lenin, jako typ jednolity, nie pojawił się jeszcze w litera-
turze. Za mały okres czasu dzieli go od myśli ludzkiej, a jest
zbyt skomplikowany, aby w budowaniu jego psychologii iść po
linii najmniejszego oporu.

Z. M.

Kronika o Polskim Morzu. Dzieje walk, zwycięstw i pracy. —
Pod redakcją Czesława Pechu. Warszawa. Nakładem tygodnika
„Polska Gospodarcza”. 1930 r.

Pojęcie „Polskie Morze” jest jeszcze dla wielu z nas poję-
ciem nieco abstrakcyjnym: budzi odruchy uczuciowe raczej, niż
skojarzenia myślowe. Co jest tego przyczyną? Brak konkretnych
danych. Tę lukę w naszej „wiedzy o morzu” wypełnia wspo-
mniana wyżej „Kronika”, — piękne wydawnictwo o zakroju
monumentalnym.

Jest to właściwie coś pośredniego między encyklopedją,
albumem, a księgą pamiątkową. Poszczególne działy, opracowa-
ne przez specjalistów, wszechstronnie oświetlają „nie tylko dzie-
je walk, zwycięstw i pracy”, ale również i charakter naszego
wybrzeża, jego przyrodę, krajobraz, obyczaje ludu kaszubskiego,
język, zabytki architektoniczne, morze w literaturze polskiej itd.
Każdy znajdzie tu z łatwością to, co go najbardziej w zakresie
naszych spraw morskich interesuje. Staranny dobór prac, liczne
i niebanalne ilustracje, wyjątkowo piękna (jak na nasze stosun-
ki) strona typograficzna — chlubnie świadczą o rzetelnej pracy
i pietyzmie redakcji.

S. P. O.

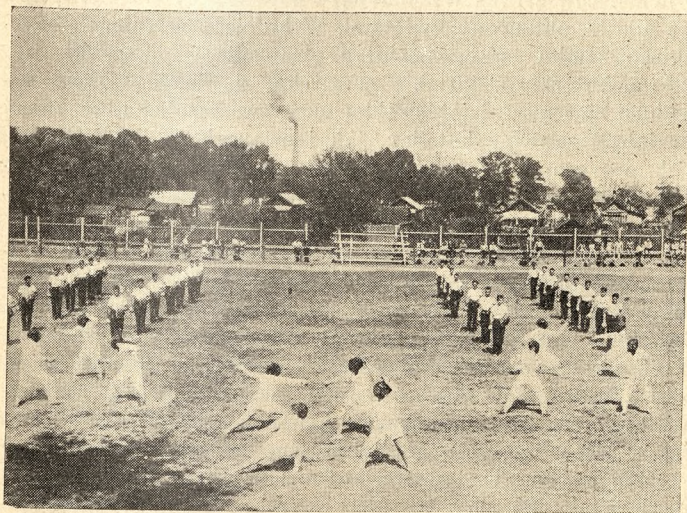
Kobieta w świecie i w domu

TRZEBA MIERZYĆ SPRAWIEDLIWĄ MIARĄ.

W okolicach Darmsztadtu uległa katastrofie kobieta pilotka, Paula Kister, zabijając się na miejscu. Niektóre pisma warszawskie uznały za stosowne przypisać wypadek temu, że samolot kierowany był „niewprawną ręką pilotki”. Warto byłoby policzyć ile *wprawnych rąk pilotów* rozbija maszyny i powoduje katastrofy. Wszyscy, mający elementarne pojęcie o lotnictwie, wiedzą, że nikt nie da pilotowi (bez względu na płeć) prawa lotu, dopóki nie wykaże on umiejętności latania. Katastrofa, w dzisiejszych warunkach techniki lotniczej, jest zawsze możliwa, bez względu na sprawność pilota. Kobiet-lotniczek jest o wiele mniej, niż mężczyzn, jest ich jednak już sporo, a katastrofy były dotychczas dwie: zginęła w przelocie nad Atlantykiem księżna Loewenstein-Wertheim, i nad Pacyfikiem Miss Doran. Paula Kister jest trzecią ofiarą. Wobec co najmniej paru tysięcy lotów kobiecych, wobec takich asów, jak lady Bailey, Amy Johnson i Winnifred Brown, trudno, na zasadzie trzech wypadków, w ciągu 3-ch lat (właściwie jednego, bo lotów przez Ocean nie można zaliczyć do zwykłych), mówić o niewprawności pilotek.

POLICJA KOBIECA W AUSTRII.

W Austrii bardzo wcześnie, wkrótce po wojnie, wprowadzono policję kobiecą. Spełnia ona doskonale swe obowiązki, przytem do zadań policjantek należy głównie opieka i obrona kobiet i dzieci na ulicach, w parkach i miejscach publicznych. Policja kobieca pilnuje, aby młodzież nie chodziła do kin na niedozwolone programy; zwraca uwagę na małoletnich przekupniów ulicznych; tępi żebractwo dzieci i wykorzystywanie ich przez starszych, zawodowych żebraków. Najcięższą i najodpowiedzialniejszą służbą policjantek jest śledzenie handlarzy żywym towarem. Do tego, obok bystrości i sprytu, potrzeba jeszcze siły, zręczności i odwagi. To też policjantki wyćwiczone są, narówni z kolegami-mężczyznami, w gimnastyce, boksie i fechtunku. Nierzadko bowiem mają sposobność użycia ich w praktyce.



Zbiorowa lekcja fechtunku.



P. Koyke jako Butterfly.

SŁOWIK JAPOŃSKI.

Niezbyt to jeszcze odległe czasy, gdy w teatrach japońskich role kobiece grywane były przez mężczyzn, gdyż kobiety nie mogły ukazywać się na scenie. A dziś, po kilkudziesięciu latach, artystki japońskie zdobyły sobie powodzenie nie tylko w ojczyźnie, ale niektóre z nich w całym świecie. Sławną była przed wojną Sada Yacco, obecnie wszyscy zachwycają się divą filmową, May Wong, a ostatnio zbiera laury w Ameryce, zwana tam „Słowikiem japońskim”, pani Hizi Koyke, primadonna opery w Cincinnati i w Filadelfji.

ZWRACAMY UWAGĘ WSZYSTKICH KOBIET!

W dniach 7 — 10 października r. b. odbędzie się w Warszawie VIII Międzynarodowy Kongres Komitetów Walki z handlem żywym towarem. Na Kongresie tym mają być zobrazowane metody prac, dotychczasowe wyniki, tudzież opracowane wnioski, które pójdą pod obrady Komisji Ligi Narodów.

Jeżeli się weźmie pod uwagę wyjątkowe warunki polskie oraz masową emigrację zarobkową, to łatwo spostrzec, że największe niebezpieczeństwo w tej sprawie zagraża Polsce. Potwierdzają to materiały sprawozdawcze Komitetów, zwłaszcza amerykańskich oraz nasze własne spostrzeżenia: faktem zatem jest, że olbrzymia większość „żywego towaru” na rynek światowy wychodzi z Polski. Taki stan rzeczy stwarza konieczność jak największego zainteresowania się społeczeństwa polskiego sprawą ohydneho i zbrodniczego handlu.

Dobrze się więc stało, że najbliższy doroczny Międzynarodowy Kongres, w którym biorą udział, prócz Międzynarodowego Biura Ligi Narodów i Komitety kilkunastu państw całego świata, odbędzie się w Warszawie, bo wpłynie to niewątpliwie na uświadomienie ogólne naszego społeczeństwa, które, poznawszy istotę i ogrom zła, wydatniej skupi się w zorganizowanej walce z tą plagą Polski.

Kongres, przy poparciu władz państwowych, organizuje Warszawski Komitet, który zgromadził najpoważniejsze organizacje kobiece.

Prezydium uzyskało od p. Prezydentowej łaskawe przyjęcie protektoratu nad Kongresem.

Biuro Kongresu mieści się w lokalu Komitetu Walki z handlem żywym towarem w Warszawie, przy ulicy Zgoda 6, tel. 107-65.



P. Wills-Moody na korcie.

NOWA MODA W TENNISIE.

Uroczą amerykanką Helen Wills, obecnie pani Moody, rywalka i zwyciężczyni Zuzanny Leglen, odniosła nowy triumf na zawodach tenisowych w Wimbledon, w Anglii, zdobywając puchar Wightmana. Pani Wills-Moody wprowadziła do sportu tenisowego nowy obyczaj: nosi ona podczas gry czapeczkę z daszkiem. Przypomina to trochę dzokiejkę, która była przed laty kokieteryjnym nakryciem głowy, bardzo dla niektórych osób „twarzowem”. Dziś większość tenisistek używa już za przykładem Helen Wills tej czapeczki, która chroni oczy przed zbyt blaskiem słońca.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Dziesięć lat upłynęło, jak na zasadzie sfalszowanego plebiscytu, należy do Niemiec prastara *ziemia Juranda*, Warmja.

Od trzynastego wieku Prusy wschodnie cierpiały gwałty krzyżackie. Po okresie spokoju pod rządami Polski, Warmja odpadła od niej w czasie rozbiorów. Długa niewola nie zdołała jednak wytepić doszczętnie polskiego ducha i zdawało się, że oczyszczona po wielkiej burzy wojennej atmosfera przyniesie mazurkom pruskim możliwość swobodnego oddechu, Warmja zostanie przyznana Polsce. Raz jednak jeszcze przekonał się, że w obronie najsluszniejszych zasad trzeba mieć... siłę.

Pomimo, że do Paryża przybyła delegacja polaków-mazurów z Warmji, aby Radzie Najwyższej zwyciężskich mocarstw przedstawić sprawę swego kraju, pomimo, że Radzie tej przewodniczył Wilson, przeszechrowano Warmję, głównie za sprawą naszego „przyjaciela”, zapalonego germanisty i machera politycznego Lloyd George'a.

Nie bez winy było i nasze ówczesne mniej i więcej urzędowe przedstawicielstwo w Paryżu. Rada Najwyższa po-

stanowiła plebiscyt na Warmji. Teoretycznie było to sprawiedliwe, ale w praktyce nikt widocznie, nawet my sami, nie podzieliliśmy, do czego zdolne są biedne, pokonane, skruszone Niemcy! Nie dopilnowano nawet tej elementarnej, technicznej i wszędzie obserwowanej zasady wyborczej, żeby głosować mieli prawo stali, lub przynajmniej jako tako osiedleni mieszkańcy. Głosować mógł każdy, kto wtedy był na Warmji.

Naturalnie, przybyły tysiące Niemców, emigrantów (150 tysięcy); z Polski nie wiele kto mógł przyjechać, bo na Warszawę szła wtedy nawała bolszewicka, zajmując Mławę i Działdowo. Idący z kartkami do urn plebiscytowych mazurzy nie mogli być pewni, czy głosują za Polską samodzielną, czy za krajem, zalanym przez hordy sowieckie. Wszelkie starania o odłożenie plebiscytu do czasu ustania działań wojennych, aby dać ludności Warmji możliwość ochłonięcia, zastanowienia się i jakiegoś takiego obznajmienia ze stanem i sprawami kraju, do którego mieli możliwość powrócenia po stu pięćdziesięcioletnim oderwaniu, zawiodły.

I tu widzimy wielką niesprawiedliwość tej Rady zwyciężskich mocarstw, której zadaniem było właśnie oczyścić wojenną atmosferę Europy.

Komisja aljancka, rezydując w Olsztynie, nie potrafiła utrzymać nawet elementarnej porządku i spokoju podczas plebiscytu. Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę, że pomimo rozpaczliwego położenia Polski, mazurów będą głosowali za przyłączeniem. To też uciekli się do odwiecznych wypróbowanych środków: gwałtu i teroru.

Zmuszeni, do rozpaczliwej obrony wewnątrz kraju, nie mogliśmy wtedy nawet śledzić pilnie tego, co się działo w plebiscytowym okręgu Prus Wschodnich. Działy się rzeczy straszne. Wycofano wprawdzie z Warmji wojska niemieckie, ale zastąpiono je bojówkami Sicherheitswey, które rozpoczęły formalną wojnę. Mordowano działaczy polskich, terrorizowano ludność, nie oszczędzano kobiet i dzieci; środki te przyniosły w końcu Niemcom zwycięstwo.

Nie znaczy to jednak, aby ludność ta była zadowolona z ich rządów. W niemieckiej dziś Warmji biją gorące serca ludu dla Polski. Istnieją liczne stowarzyszenia, wychodzą pisma polskie, mazurzy czują się polakami i gdyby przyszło do powtórnej rozgrywki o tę ziemię, napewno opowiedziałaby się ona za Polską. To też powinniśmy pamiętać o niej i dla niej pracować. Dziesięciolecie fatalnego plebiscytu wzbudziło szerokie echo w całym kraju, we wszystkich większych miastach odbyły się manifestacje na rzecz Warmji. Najwspanialszy był żywiołowy odruch samej ludności mazurskiej, na pogranicznym skrawku, przyznanym Polsce, w Działdowie i okolicach.

Ogromny pochód, złożony z mieszkańców miejscowych, 600 uchodźców z Prus Wschodnich i harcerzy przeciągnął przez ulice miasta, obrzucany kwiatami. W kościele, w ruinach krzyżackiego zamku polscy pastory ewangelicy odprawili uroczyste nabożeństwo, jutrznię mazurską, za Polskę. Potem odprawiono na rynku działdowskim mszę św. katolicką, na której obecni byli zarówno katolicy, jak i ewangelicy. Po defiladzie wojsk, przysposobienia wojskowego i harcerzy nastąpiło położenie kamienia węgielnego pod pomnik Władysława Jagiełły, *ufundowany ze składek nauczycieli i młodzieży szkolnej*.

Na wszystkich uroczystościach obecni byli przedstawiciele władz, delegaci ze stolicy i z różnych stron kraju. Wieczorem tłumy zgromadziły się w Krasnolece, na samej granicy. Wzniesiono tam bramę z napisem: „Duch polski nie zna granic”. Przybyły sztafety kolarskie z Działdowa, ludność miejscowa i przyjezdni. Pan wojewoda pomorski rozdał nagrody pierwszym sztafetom i odznakę honorową włościance Sawulskiej z Krasnoleki, jako hołd dzielnym matkom-mazurkom.

Pamiętajmy, ciągle, twardo i nieustępliwie o tej pokrzywdzonej ziemi, pomagajmy licznej rzeszy działaczy polskich, którzy krzewią na mazurach pruskich polską kulturę — przyszłość do nas należy.

O SZACUNKU DLA STARSZYCH

Mówi się: — Dobrze wychowani młodzi ludzie powinni szanować starszych.

Mówi się także: — Żle wychowana młodzież współczesna nie okazuje starszym należnego uszanowania.

Rzecz ciekawa, że zawsze i wszędzie, jak daleko sięga pamięć ludzka, poparta dokumentami epoki — starzy skarżyli się na brak należytego uszanowania ze strony młodzieży; młodzi zawsze usiłowali się wyłamać z pod jarzma obowiązującego wobec starszych szacunku.

W praktyce współczesnej różnica między uszanowaniem i nieuszanowaniem młodych dla wieku sędziwego wygląda mniej więcej tak: Żle wychowana młodzież przy ukazaniu się starszych wynosi się ostentacyjnie, nieraz zapominając się przywitać, dobrze wychowana — całuje z uszanowaniem wszystkie ręce, ustępuje z kanap, podsuwa fotele, odpowiada uprzejmie i zdawkowo na zadane pytania i... po chwili dyskretnie się usuwa, zostawiając plac wolny.

Zapewne, jest różnica między temi sposobami postępowania, ale czyż doprawdy tak znaczna? Ostatecznie, i tam i tu jądro sprawy jest jednakie, gorzkie i trudne do strawienia dla starczego żołądka: młodzież wyraźnie unika starszych. Nie czuje do nich ani sympatji, ani zaufania. Nie czuje potrzeby zwierzenia się im, skorzystania z ich doświadczenia. Towarzystwo starszych wydaje się młodzieży tylko niepotrzebnym skrzepowaniem, nudnym przymusem.

I cóż przyjdzie tym starszym z szacunku? Konwencjonalnego, czysto zewnętrznego szacunku, pod którego cienką powłoką nieraz przeglądają bezlitosne drwiny, do których tak bardzo jest skłonne okrucieństwo pierwszej młodości? Czy tego spodziewali się starsi po tych wszystkich uciesznych bąkach, bujanych na kolanie i okarmianych słodyczami, wtedy, kiedy oni, obecni starcy, byli ludźmi w kwiecie wieku? Czy tak wyobrażali sobie owo młode pokolenie, w imię którego na tyle się zdobywali poświęceń? Pokolenie, mające przejąć ich wierzenia i ideały, zastąpić ich w pracy, zachowując graniczącą z nabożeństwem cześć dla swych poprzedników?

Ale, ba! Młode pokolenie ma swoje własne prace i własne zamiłowania i dążenia, a do słowa „ideał” odnosi się z nieufną ironją. Cóż na to poradzić?!

Młodzi nazywają sposób mówienia starszych głędzeniem; słuchając zawitych wywodów starszych, ziewają bez ceremonji, lub prychną śmiechem w nos, o ile są źle ułożeni; za drzwiami, o ile mają dostateczną tresurę.

W rezultacie — smutna, ogromnie smutna, beznadziejnie smutna jest *starość*.

Żal, ogromny żal do wszystkich i do siebie samych za lata młodości, zmarnowane w pracy dla przyszłości. Otóż macie ją, tę przyszłość! Pokazuje wam odsłonięte łydki w cielistych pończochach, puszcza w nos dym z papierosa, kpi sobie z waszego doświadczenia i powagi, a w najlepszym razie nie chce z wami gadać... przez nadmiar uszanowania. I którzy w tych warunkach ośmielił się żądać od starszych wyrozumiałości i sympatji dla młodego pokolenia? I którzy by się dziwił, że, mówiąc o młodych, znajdują jedynie słowa nagany i szyderstwa?

A gdyby tak zrobić ankietę wśród młodych, aby zbadać przyczynę tego włoskiego strajku względem starszych? Sądzę, że odpowiedzi wypadłyby mniej więcej tak:

— Kiedy byłem dzieckiem i podlotkiem, ilekroć prosiłam o wyjaśnienie którejś z mych wątpliwości, mówiono mi: „nie wtrącaj się do rozinowy starszych”

— albo: „grzeczne dziewczynki nie powinny myśleć o podobnych rzeczach”. I tak już przyzwyczaiłam się szukać odpowiedzi na nurtujące mnie zagadnienia w książkach i rozważać je z rówieśnikami, czytającymi te same książki, że dziś... wybaczenie, ale nie wiem doprawdy, o czym mogłabym z wami mówić? — odpowie młoda studentka.

— Bo starsi, to łachy i mamuty, nie mające pojęcia o niczem. Nie wie jeden z drugim, co znaczy „knock out”, a zdaje się im, że wszystkie rozumy pojedli! — stwierdza pogardliwie szesnastoletni sportsmen.

— Bo przy starszych, to nie można się nawet dobrze bawić — oznajmiał solidarnie panienki i młodzi ludzie, lubiący tańczyć. — Siedzą i krytykują: a to sukienki za krótkie, a to za blisko się trzymają; a za naszych czasów to i suknie i tańce były ładniejsze; a, Lolu, uważaj, żebyś się nie przemęczyła; a, Lolule, nie śmieję się tak głośno; a, Lilka, jak ty się wogóle zachowujesz?! a wreszcie: jak pan śmie mówić takie rzeczy przy młodych panienkach?!

— A my nie chcemy słuchać kryptyk i bawić się, jak marjonetki, pociągane za sznurek, skakać tak wysoko i daleko, jak sznurek pozwala!... Wolimy tam, gdzie za dużo cioc i mam, nie bywać wcale, a jeżeli się przypadkiem w ich towarzystwie znajdziemy, przestajemy tańczyć i przestajemy się bawić.

— Bo czy jest możliwa jakakolwiek poważna dyskusja w tych warunkach, że mój oponent, w braku innego argumentu, odwoła się do swych mnogich lat i siwych włosów, a ja przez uszanowanie dla jego sędziwego wieku będę musiał ustąpić, choćbym nie wiem jak był pewien swej racji? — zapyta z żalem niejeden młodzieniec serjo; i t. d. i t. d. i t. d....

I nikomu nie można odmówić słuszności. Owszem, bywa tak, aż nazbyt często, niestety, bywa. Okazuje się, że zawsze i wszędzie za najgorszych pokutują najlepsi. Starsi, na podstawie kilku aroganckich młodych osobników, którzy boleśnie zranili ich miłość własną, potępiają w czambuł całą młodzież, w tej liczbie i te jednostki, które, garnąc się całym sercem ku ich doświadczeniu, dałyby ich powadze i próżności kompletną satysfakcję moralną. Młodzież w tłumie gderliwych, pretensjonalnych ciotek, zgryźliwych, stetryczalnych wujaszaków, nie umie dostrzec swych naturalnych sojuszników, którzy przy siwych włosach zachowali młodość ducha i tak gorąco, tak całym swem jestestwem pragną zdobyć miłość i zaufanie młodych.

Przyjaźń starości i młodości jest najczystsza, najszlachetniejsza, najbardziej bezinteresowną formą przyjaźni. Młody wspiera się i umacnia, korzystając z doświadczonego rad starszego przyjaciela; starzec rozgrzewa się w płomieniu młodzieńczego entuzjazmu i młodocianej radości życia. Taka przyjaźń — to jedyna droga duchowych testamentów, przekazywania żywych myśli i wierzeń z pokolenia w pokolenie. Ale jak się rozpoznać wzajemnie wśród wrogich obozów? Jak pod zmanierowaną pozą ultranowoczesnej garconiey dopatrzyć dobrego, dziewczęcego serduska mickiewiczowskiej Zosi? Jak pod niemodnym kapeluszem na siwych włosach i w cieniu groźnych okularów dojrzyć

dobrze oczy i pobłażliwy uśmiech starości, która wszystko rozumie i wiele wybacza?

Zwłaszcza, kiedy tradycja, wychowanie i konwencje wszystko zrobiły, aby to wzajemne rozpoznanie i porozumienie utrudnić. Bo ostatecznie początek winy jest po stronie starszych. Nie należało powoływać się zbyt długo i zbyt kategorycznie na niesprawdzony autorytet starszeństwa, który musiał się rozlecieć w puch przy najłżejszym muśnięciu krytycyzmu. Mniej należało mówić o szacunku, więcej o zaufaniu i miłości, zwłaszcza o miłości. No i zdobywać tę miłość, starać się o nią!

Bądź co bądź starość bardziej potrzebuje młodości i musi sobie z tej potrzeby zdać sprawę. Młodości beztrudniej, samowystarczalnej młodości na niczym tak dalece nie zależy, a zwłaszcza na starszych. Więc trzeba sobie tę młodość zjednać, skokietować. Jak? Czem? Czy dumnie afiszując zmarszczki, bezzębność i łysinę, domagając się dla tych oznak starczej niemocy specjalnej czci? O, tragiczny błąd, powtarzany przez tyle tysięcy pokoleń! Aby pochlebić młodości, starość winna robić wszystko, aby jaknajdłużej pozory tej młodości zachować. Ciekawe, kto będzie się cieszył większą popularnością u wnuków: trzęsący się i kaszlący dziadunio, przykuty do fotela, czy młody dziad, grający z wnuczętami w tenisa, uczący je konnej jazdy, a wieczorem tańczący z wnuczkami mazurka?!

Ostatnio, w niedzielnych feljetonach codziennych pism zapanowała moda rozczulania się nad tęsknotą biednych wnucząt do „prawdziwej”, siwiuteńkiej i niedołejnej babci, i nad cierpieniem tychże wnucząt z powodu, że ich babcia farbuje włosy i chodzi na dancing. Śmiem ręczyć, że w rzeczywistości żadnym wnuczętom ani się śniły podobne zmartwienia, bo nawet dancingowa babcia, już przez to samo, że mało bywa w domu, cenniejszą jest od jęklivego, zawsze i wszędzie wtrącającego się starego grata, który dzieci muszą ostrożnie omijać i szanować, koniecznie szanować.

— To okrutne!

— Tak okrutne, jak samo życie!

— Ale stwierdzanie takich prawd jest okrucieństwem bezcelowym, bo zachowanie zewnętrznych cech młodości nie od nas zależy.

— Oczywiście, ale obowiązkiem naszym jest walczyć o przedłużenie młodości, a nie pograżać się w spokojnym i wygodnym kulcie własnej starości. Starość powinna usiłować zbliżyć się do młodości wszystkimi drogami, fizycznie i duchowo. Nie mam na myśli pięćdziesięcioletnich podlotków, mizdrzących się do flirtów swoich córek, ani podrygujących starszków, nadskakujących najmłodszym panienkom. Takie małpowanie młodości, zawsze karykaturalne, byłoby zabawne, gdyby nie było zarazem tak bezgranicznie smutne.

Ala ja myślę o wewnętrznym usiłowaniu starszego pokolenia do nadążenia za młodzieżą, do zrozumienia jej pojęć i odczuwań; do zniszczenia, a przynajmniej zmniejszenia bezlitosnej zapy, dzielącej Wczoraj i Jutro. No i, oczywiście, i do zewnętrznych oznak sympatii względem młodego pokolenia.

Czyż doprawdy tak trudno byłoby nie gorszyć się na zapas każdą nową modą, nowym tańcem, nowym sportem, nieraz nie wiedząc nawet dobrze, na czym on polega? Czyż naprawdę tak wielką ofiarą byłoby zaniechać zwyczaju odwoływania się do „dawnych lepszych czasów”, które właśnie w naszym wypadku nie były lepsze, chociażby dlatego, że były cza-

sami niewoli? Czyż doprawdy nadmiernym wysiłkiem byłoby usiłowanie zrozumienia nowych prądów w życiu i literaturze, a przynajmniej zainteresowania się nimi? A przede wszystkim — uznanie cudzej indywidualności, chociażby najmłodszej, skończenie raz na zawsze z argumentami w rodzaju: „Zemną się będziesz spierał?!!! Smarrkacz!...”. Zrezygnowanie z prawa nieograniczonej kontroli i nieodstępnej opieki, która musi być przez młodych uważana za bezprawny ucisk i podstępny tyranj.

Młodość umie ocenić dobrą wolę i bywa wdzięczna za najłżejszy odruch sympatii. Byłam świadkiem, jak na tańczącym podwieczorku dla podlotków jedna ze starszych pań, przyglądających się tańczącym parom, naraz głośno westchnęła:

— I pomyśleć, że niejedna z nas miała też zgrabne nóżki, a nigdy nie mogła ich pokazywać, tak, jak te szczęśliwe kozy!

I wnet, jak na komendę, panienki porzuciły dancerów i, śmiejąc się, uściślały serdecznie szczerą starą damę.

O tem, czem może stać się przyjaźń młodości i starości, wiem z własnych wspomnień, gdyż największą przyjaciółką mego dzieciństwa i niewdzięcznego wieku podlotka była babka jednej z moich rówieśnic, osoba ogromnie wykształcona i bardzo, jak na owe czasy, postępową. Dorośli uważali ją za dziwadło, ja — za istotę najmądrzejszą pod słońcem. Łaziłam za nią wszędzie, jak piesek pokojowy i słuchałam wszystkiego, co mówiła, jak słów ewangelji. Pamiętam, że nigdy nie zlekceważyła i nie wyśmiała żadnego z najnieprawdopodobniejszych moich pytań i pomysłów. Rozmawialiśmy ze sobą absolutnie o wszystkim, tylko, zdaje się, że nigdy nie było między nami mowy... o szacunku, należnym mojej przyjaciółce z tytułu jej wieku.

Jadwiga Kiernarska.

O ZABURZENIACH SKÓRNYCH W LECIE

Miesiące letnie mogą powodować zjawianie się dokuczliwych podrażnień skóry, a nawet pryszczy (ekzem), przechodzących mniej lub więcej łagodnie, zależnie od wrażliwości skóry i predyspozycji.

To też, skoro tylko zauważy się małe chociażby podrażnienie, należy niezwłocznie robić okłady z wody gorącej o 45° C. Okłady te z waty stosuje się 3—4 razy dziennie w ciągu godziny za każdym razem, a jakkolwiek należą one do typów prostego, nie skombinowanego leczenia, jednakże, pobudzając miejscowy krwioobieg i unerwienie, zmniejszają podrażnienie i swędzenie, które pod wpływem wilgotnego ciepła ustępują w stosunkowo krótkim czasie.

Jednocześnie pamiętać należy i o predyspozycji do podrażnień skórnych i energicznie ją zwalczać przez pobudzenie fizjologicznego utleniania. Czytelniczki nasze powinny pamiętać, że większa część podrażnień skóry spowodowana jest przez zatrucie organicznymi odpadkami, t. j. ekstraktywnymi substancjami, wydzielanymi przez żywy organizm. To właśnie wydzielanie ekstraktywnych substancji z organizmu należy ułatwić, ażeby usunąć warunki, sprzyjające zjawianiu się podrażnień skóry.

A ułatwić je możemy przez pobudzenie dzia-

lania żołądka, kiszek i nerek, jako najgłówniejszych organów wydzielniczych. W tym celu posługujemy się środkami przeczyszczającymi — jak np. Kaskara, sól gorzka, sól morszyńska, senes, lewatywy — a także środkami zwiększającymi przepuszczalność moczową nerek, np.: mleczan stronejanu w ilości 0,5 gr. 3 razy dziennie, salicylan litynu w ilości 0,5 gr. 3 razy dziennie, wywar z perzu, korzonków wiśni, lub też polnych bratków.

Większość ludzi, zachowujących długo młodość, zawdzięcza to dobrej przemianie materji. Należy jednak pamiętać o tem już od lat najmłodszych, jeżeli bowiem dopiero w starszym wieku przystąpimy do usuwania wad tej przemiany, psutej przez długie lata nieodpowiednim trybem życia i odżywiania, niewiadomo, czy nawet po usilnych staraniach i wielu poświęceniach zdołamy dopiąć celu. A dobrą przemianę materji uzyskuje się przez dietę roślinno-mleczną z dodaniem niewielkiej ilości mięsa i bardzo małej ilości ryb. Dziczyn, konserw, buljonów, ciastek, serów fermentujących, a także kapusty i szcawiu, należy się prawie zupełnie wyrzec. Kąpiele, prysznice, nacierania i gimnastyka na powietrzu znacznie wpływają na zwiększanie się utleniania, przez co również otrzymujemy nową broń do zwalczania predyspozycji do różnych wyprysków skórnych.

Poza wypryskami prawdziwą plagą miesięcy letnich jest jeszcze pocenie się, które u wielu osób dochodzi do takiego stopnia, że wadę tę można nazwać kalectwem. Pocenie nadmierne, poza przykrością, spowodowaną przykrym zapachem i uczuciem wilgotności, pociąga za sobą również nadmierne chudnięcie, osłabienie, bezsenność, a także predyspozycje do cierpień reumatycznych. Jako środek zapobiegawczy przeciwko poceniu się, wymienię wietrzenie (specjalnie na noc) mieszkania, utrzymanie ciepłoty w pokoju nie wyżej ponad 16° C. We dnie należy unikać zbyt silnego słońca i pić od czasu do czasu pobudzające płyny, z których słaby wywar chinowy zdaje mi się być najlepszym. Na skórze bezpośrednio należy nosić cienutką wełnianą koszulkę, z łatwością wchłaniającą pot. O ile na skórze zjawiają się drobne pęcherzyki, co zazwyczaj daje się zauważyć na końcach palców, należy przecierać je spirytusem salicylowym (1%) z dodaniem małej ilości mentolu.

Samo pocenie jest w rzeczywistości oczyszczaniem porów skóry, jednakże, o ile jakościowo i ilościowo przechodzi ono granice normalne, powinno być bezwarunkowo zwalczane. Dość często pot wydziela się obficie na twarzy, rękach, nogach, a także na owłosionej części głowy. Tego rodzaju pocenie się już przekracza normę, przyczem może powodować łysienie; w fałdach zaś skóry — jak np. pod pachami, między palcami i t. p. — wywołuje podrażnienie naskórka, pękanie, macerację, nie mówiąc już o przykrym zapachu. Pot pod pachami, zazwyczaj koloru żółtawego, ma właściwości żrące. Taki nadmierny pot należy osuszać delikatnie, bez silnego tarcia. Ubranie w miesiące letnie powinno być przewiewne z materiałów nieścisłych, przepuszczalnych; potników należy unikać; buciki muszą być ze skóry miękkiej, a najlepiej plecionki.

Przeciwko wszelkim rodzajom potu bez różnicy pochodzenia, należy stosować z początku pomady o właściwościach ściągających, pudry obojętne i płyny łagodzące, by przejść następnie do środków więcej energicznych. Dowewnątrz dobrze jest przyjmować 3 razy dziennie po łyżeczce deserowej co następuje:

ulepku kinowego 150 gr., kropli macznikowych, nalewki belladonny i nastoju kulczybrany po 10 gr., a także olejku sabinowego 15 kropel. Przeciwno poceniu się owłosionej skóry głowy należy stosować przecieranie 1% spirytusem salicylowym. Przy poceniu się pach dobrze robi płyn Van Swieten'a, po którym należy pudrować mieszaniną talku, kamfory, magnezji, bismutu, kwasu borowego i tlenku cynku w równych częściach. Przeciw potom kolorowym zaleca się roztwór nadboranu sodu, lub też płyn Labarzaque. Te dwa ostatnie płyny są zarazem dobrymi środkami antyseptycznymi, zmniejszającymi lub nawet usuwającymi zapach, a także podrażnienie, stan zapalny i ewentualne zarażenia (np. czyraki).

Nogi dobrze jest moczyć w roztworze nadmanganu potasu w ilości 3 gr. proszku na 5 litrów wody ciepłej, lub też w roztworze formalu, kwasu chromowego, a następnie pudrować alunem, taniną, bismutem salicylowym, tymolem. Pocenie się rąk zwalcza się przecieraniem ich spirytusem z szafwią, nalewką belladonny, naftolem i formaldehydem, w trudniejszych zaś wypadkach stosuje się promienie X i ultrafioletowe.

Podczas upałów promienie słońca działają przede wszystkim na twarz, szyję i piersi, powodując ich zaczerwienienie i wilgotność; objawy te dają się zauważyć również pod wpływem wewnętrznych wzruszeń, spowodowanych czy to wstydem, czy radością, czy też gniewem i szczególnie dają się we znaki osobom, cierpiącym na zaburzenia w jajnikach (np. w okresie przekwitania). Tutaj dużą pomoc okazują nam organopreparaty (np. wyciągi z jajników). Należy tego rodzaju objawy odróżniać od podobnych, wywołanych przez cierpienia serca i naczyń, u osób neuropatycznych i t. p.

Przy poceniu się pach, o jakim już wspominałam, należy bezwzględnie zarzucić potniki, które znacznie zwiększają pocenie się, natomiast zalecić można pilśni lub muslin, złożony kilkakrotnie. Pocenie rąk i nóg usuwa się metodą Gersona, polegającą na noszeniu rękawiczek i pończoch, moczonych w spirytusie formolowym (oczywiście, wkładanych po uprzednim ich wyschnięciu). Dzięki tej metodzie naskórek nieco grubieje, pocenie zaś z czasem ustępuje.

Z preparatów, stosowanych dowewnątrz, na uwagę zasługują fosfaty siarki, siarczan atropiny (szczególniej przeciw potom nocnym). Pozatem dobrze robią kąpiele z dodaniem kwasu solnego, siarki i przecierania spirytusem z taniną.

Na zakończenie podam przepis płynu do nacierania 3 razy dziennie skóry przy potach nadmiernych. Octu salicylowego aromatycznego 60 gr., nalewki belladonny 40 gr., formaldehydu 5 gr. i olejku bergamotowego 2 gr.

Dr. med. Zofja Rostkowska.

TEPIENIE PLUSKIEW

Na ciągle zapytania, jak tępić nieznosne owady — pluskwy, które specjalnie w tym roku się rozmnożyły, podaję odpowiedź ogólną.

Wskutek upałów pluskwy zawsze pojawiające się w lecie, zwłaszcza w miastach, w starych domach, w tym roku stały się nie do wytrzymania; uprzykrzają życie i nie dają chwili spoczynku w nocy. Jak łatwo wprowadzić je do najczystszej utrzymanego mieszkania, a jak trudno wytępić — wiemy wszyscy. Wystar-

czy przewiezienie jednej z rzeczami lub pościelą, aby wkrótce rozplenili się, nawet w nowym domu. Walka z nimi jest bardzo ciężka; najlepszym dowodem ogromna ilość przeróżnych ogłaszanych przeciw pluskwom „nieomylnych” środków. Tymczasem ten, kto wymyśliłby jeden, a pewny — mógłby spokojnie spać na oba uszy: nietylko pozbyłby się niegodziwych pasożytów, ale i równie nieznośnych kłopotów materialnych.

Bezwarunkowa czystość w mieszkaniu, staranne odkurzenie ścian, częste wietrzenie sypialnych pokoi i trzepanie pościeli — są pierwszymi warunkami pomyslnych rezultatów walki z pluskwami; do kompletnego jednak wytepienia jeszcze daleko. Od dziesięciu wieków biedzą się ludziska z drobnym napozór nieprzyjacielem, ale, niestety, nic pewnego wynaleźć dotąd nie potrafili.

W początkach jedenastego stulecia spotykamy poraz pierwszy wzmiankę o pluskwach w Europie — pojawiły się w Strasburgu; w wieku piętnastym znajdujemy opis wstrętnego i złośliwego robactwa, przywiezionego do Portugalji z łupami drzewnemi, zdobytemi w Indjach, podczas podróży, którą przedsięwziął na rozkaz ówczesnego króla Emanuela Portugalskiego, żeglarz Vasco de Gama w roku 1469. W 1666 roku Anglja zostaje niemi obdarzona wraz ze sprzętami drewnianemi, otrzymanemi z Ameryki. Widzimy więc, jak starą jest plaga, rozpowszechniona nietylko w całej Europie, ale i na całym świecie.

Nic to dziwnego, jeżeli zważymy nadzwyczajną płodność pluskiew, których samice znoszą cztery razy do roku 50—60 jaj; młode, z początku białe, zrzucają skórę kilkakrotnie, a dorósłszy wkrótce, dochodzą do kompletnego rozwoju. Liście sabiny, nalane spirytusem z dodaniem małej ilości arszeniku i sublimatu, byłyby znakomitym środkiem na pluskwy, gdyby można znaleźć wszystkie kryjówki, w których się gnieźdzą; ponieważ jednak wciskają się w każdą, najmniejszą szparę, prawie dla oka niewidzialną, i ten ostry środek nie jest wystarczający. Pluskwa ma nadzwyczaj twarde życie, ani mrozu ani głodu się nie boi; napozór zdrętwiała z zimna na 25-cio stopniowym mrozie, w nieopalonem pokoju, natychmiast ożyje, jeżeli napalimy w piecu, a wygłodzona czasem przez parę lat, gdy poczuje żer w postaci krwi ludzkiej, rzuca się na człowieka, zmuszając go do ucieczki. Niezszczęśliwi nasi zesłańcy z 63 roku opowiadali o napaściach pluskiew w przeznaczonych dla nich kwaterek, uważając je za jedną z najprzykrzejszych dolegliwości swego pobytu na wygnaniu.

Z pluskwami trzeba prowadzić walkę na dwa fronty: prześladować bezustanku wylęgające i usuwać ich zarodki, równie trudne do wytepienia. W pokoju, gdzie są pluskwy w ścianach, łózkach i meblach, trzeba smarować wszystkie szpary olejkami terpentynowym, albo: sparzyć ukropem utłuczone nasienie kolendru, przecedzić i tym odwarem napuszczać podejrzane miejsca we wszystkich sprzętach. Z dobrym skutkiem używają połupanych gałązek modrzewiowych, mocząc je całą dobę w wodzie deszczowej, następnie gotując kilka godzin w kociołku na silnym ogniu i studząc pod przykryciem. Tym odwarem zapomocą pendzla, osadzonego na długim kiju, zmywają ściany i meble; woda ta nie płami, a wyniszcza pluskwy.

Sposoby te, choć skuteczne na wykształcone owady, są tylko półśrodkami, nie niszczą bowiem ich zarodków. Wyplenienia jedne i drugie parzenie ukro-

pem łóżek i mebli, jednak delikatniejsze sprzęty środka tego nie wytrzymują.

W przeszłości, kiedy ludzie mieli widać mniej wrażliwe powonienie, używali do okrywania się der, przepojonych potem końskim, aby się zabezpieczyć od napaści pluskiew. Wprawdzie środek równie przykry, jak przyczyna, podobno jednak niezawodny, bowiem odoru potu końskiego pluskwy nie znoszą i uciekają od niego.

Pewny również na pluskwy i ich zarodki jest środek następujący: na litr wody wziąć 25 dk. soli mialkiej kuchennej, 10 gr. suszonych liści piołunu i 10 gr. wawrzynowych (liście bobkowe); jedne i drugie osobno silnie wygotować, zupełnie wystudzić i zmieszać ze słoną wodą. Maczać w tym płynie gałgane i zmywać miejsca, gdzie są pluskwy. W dziury po gwoździach, w szpary w ścianach i pod futryny napuszczać płyn małą szprycą szklaną. Nie trzeba wycierać zmoczonych miejsc, sól bowiem ciągnie wilgoć z powietrza, a pluskwy jej nie znoszą. Takie jednorazowe oczyszczenie wystarczy na czas dłuższy, gdyż odor, który ten preparat pozostawia, trwa dość długo, przylem zaznaczam, że płyn ten nie niszczy wcale obić.

Do bielenia i malowania klejowo mieszkań trzeba dodać jedną dziesiątą część alunu; przed naklejeniem obicia, po zdarcie starych tapet, wyszorować mūr wodą z szarem mydłem, a do kłajstru, którym będziemy kleić świeże obicia, dodać kwasu siarczanego, naturalnie ostrożnie, bo pali ciało i ubranie. Wszelkie dziury w ścianach należy wyskrobać i zalepić łojem, rozrobionym z kwasem siarczanym. Łóżka, zwłaszcza drewniane, trzeba we wszystkich spojeniach wyszorować ukropem z szarem mydłem, a po wyschnięciu wysmarować zapomocą piórka naftą, benzyną lub kwasem octowym. Ten ostatni zwłaszcza działa piorunująco: jedna jego kropla natychmiast uśmierca robaka. W szpary i spojenia szprycujemy kwas octowy zapomocą szprycy; jest to jeden z bardzo silnych, ale pewnych środków.

Jeżeli pluskwy umieściły się w łóżku, trzeba zamknąć okna i drzwi, zalepić paskami papieru wszelkie otwory, postawić pod łóżkiem miskę z ukropem, wpuścić w nią 30 do 40 kropli kwasu siarczanego, wyjść natychmiast z pokoju i drzwi za sobą szczelnie zamknąć. Po dłuższym czasie otworzyć okna i dopiero po dokładnem wywietrzeniu używać pokoju. Podobno doskonały skutek daje włożenie świeżych gałązek dzikiego tymianu, macierzanki i liści orzecha włoskiego między pościel i w rogach pokoju. Trzeba następnie zamknąć pokój na 48 godzin, nie wchodzić do niego, a po upływie tego czasu pluskwy się wyniosą. Odstające miejsca tapet trzeba skropić Flitem zapomocą dodawanej do niego szprycy; można dolać dla wzmocnienia go nieoczyszczonej benzyny lub nafty. Wszelkich tych odorów pluskwy nie znoszą.

Dla zabezpieczenia się w podróży od przykrych pasożytów, żyjących krwią ludzką, trzeba zaopatrzyć się w proszek z rośliny pyrethrum, jest on skuteczniejszy od innych, znanych w handlu, i daje chwilowe zabezpieczenie od złośliwych współlokatorów. Chroni od pluskiew również smarowanie łóżek i sprzętów (naturalnie, w mieszkaniach, prymitywnie urządzonych) esencją smoły z węgla kamiennego.

Oprócz podanych tutaj środków, jest dużo innych, sprzedawanych w aptekach i składach aptecznych. Wszelkie one jednak służą do chwilowego, ale nie do kompletnego pozbycia się wstrętnego robactwa,

najtrudniejszego do wytępienia. Aby wypełnić je radykalnie, trzeba koniecznie zrobić dezynfekcję formaliną, która najskuteczniej zabija wszelkie żyjątka i ich zarodki. Dezynfekcję taką zapomocą pary przeprowadzają specjalne zakłady czyszczenia mieszkań i zakłady sanitarne. Środek ten jest niezawodny, uwalnia nas kompletnie od nieproszonych gości, szczególnie, jeżeli zrobimy dezynfekcję w całym mieszkaniu i we wszystkich meblach.

Samemu można przeprowadzić na dłuższy czas skuteczną dezynfekcję siarką. Na pokój o obszarze 20 metrów sześciennych, 3 kg. siarki w kawałkach włożyć w głębokie naczynie blaszane, dodawszy na spód dwie lub trzy podpalki, i umieścić je na środku pokoju, na dość dużej blasze, ustawionej na cegle, lub na płaskim kamieniu, aby zabezpieczyć należycie podłogę przed spalaniem i splamieniem. Wszystkie okna i drzwi trzeba szczelnie zamknąć i oblepić kitem, albo paskami papieru i kłajstrem, a podpaliwszy siarkę, wyjść natychmiast z pokoju i drzwi wejściowe również zakleić. Naturalnie, wszystkie meble, w których mogą się znajdować pluskwy, trzeba pozostawić na miejscu, wynosząc jedynie drobne przedmioty, srebra i metale, które od takiej dezynfekcji silnie czernieją, oraz lustra, które się niszczą i zachodzą mgłą. Po 24 godzinach można już pokój otworzyć, wyczyścić i wietrzyć ze dwie doby. Aby zabezpieczyć się od dalszych najśmieszniejszych pluskiew, trzeba mieszkanie utrzymywać w jak największym porządku, w sypialnych pokojach, o ile możliwości, ściany wymalować olejno, nie wbijać gwoździ, nie wieszać obrazków na ścianach, często wietrzyć pościel i przynajmniej dwa razy w tygodniu zbierać kurz bardzo ostrym pędem elektroluxu w miescie, gdzie jest instalacja w mieszkaniu, a tam, gdzie jej nie ma, wycierać ściany z kurzu ścierką, a następnie zmywać je jednym z podanych środków.

ILE KONSERW POTRZEBUJEMY NA ZIMĘ

To pytanie, kilkakrotnie mi postawione przez Czytelniczki „Bluszczo”, i to w formie bardzo kategorycznej, sprawia mi duży kłopot. Chciałabym odpowiedzieć na nie szczegółowo i praktycznie i nie mogę, bo przecież każda z tych Czytelniczek ma inny skład rodziny, inne środki, inne przyzwyczajenia, na koniec inny układ życia.

Dalecy jesteśmy (a czasem sobie nawet pocichu mówię: — dzięki Bogu, że tak jest) od tak zwanej standaryzacji. W Ameryce, podobno, demokratyzacja zaszła tak daleko, że każda rodzina, czy to robotnika na fabryce, lub w kopalni, czy adwokata lub inżyniera (a raczej nie każda, bo przeważnie rodzina robotnika rozporządza większymi środkami) — otóż taka przeciętna rodzina o tej samej godzinie je rano, na pierwsze śniadanie, swój porridge (owsiankę), swoje pan-cakes (racuchy) z marmeladą; drugie śniadanie zjada na mieście w krótkiej przerwie pracy; o ustalonej godzinie je obiad, zaczynający się od owoców, a zakończony leguminą, złożony pozatem z dużej ilości konserwowanego mięsa i konserwowanych jarzyn, z obowiązkowymi ostremi potrawami, piklami i catsup'em (sosem pomidorowym).

Idą oni dalej: podobno co poniedziałek, o dwunastej, w każdej rodzinie jest wielkie pranie (naturalnie — zapomocą maszyn); co niedziela na pieczyście kura, a na deser tort i lody (aha!), a w święto narodowe — indyk pieczony z imbirem, papryką, pomarańczami i ananasek (wszystko razem pieczone).

Otóż u nas jest inaczej; dalecy jesteśmy od takiego raju na ziemi i, co dom — to nietylko godziny posiłków są inne (już nie mówiąc o wielkim praniu, którego terminy są zależne od tego, kiedy pani-domo-zorczyńni raczy udzielić klucza od strychu) — lecz i dania, składające się na te posiłki, są tak różne, że ich zgóry przewidzieć nie sposób.

Sądę jednak, że każda poszczególna gospodyni w dosyć łatwy sposób potrafi obliczyć potrzeby swego domu, o ile podejmie ten niewielki trud. Dla mnie takie obliczenie byłoby zadaniem z taką ilością niewiadomych, że nie podjęłabym się rozwiązać go; dla pani domu zaś, znającej ilość swoich domowników, ich gusta, ich apetyty, będzie to rzeczą niesłychanie łatwą. Ja mogę dać tylko obliczenie przykładowe, przyczem zgóry wiem, że nikogo ono nie zadowolni: zawsze będzie czegoś za dużo lub za mało.

Za zasadę przyjmę, że codziennie, raz przynajmniej, musi być kompot ze świeżych, suszonych, lub konserwowanych owoców i oprócz tego przy podwieczorku, kolacji (zależnie od gustu — nawet przy śniadaniu) powinien poraz drugi zjawić się jakiś przetwór owocowy, mniej słodki od konfitur: marmelada, „jam”, powidła. Konfitury pozostawiam, jako dodatek do leguminy, jako dodatek do podwieczorku przy gościach — jednym słowem, poniekąd jako artykuł zbytku.

Dla rodziny, składającej się z pięciu osób (dwojga rodziców, dwojga dzieci w wieku szkolnym i służącej, która, o ile nie chcemy, aby sobie sama, pokryjomu, brała przysmaki, powinna jeść to, co i państwo), zrobiłabym, mniej więcej takie obliczenie.

Kompotów w Week'ach lub pod pechem, licząc 200 dni w roku, w których świeżych owoców nie ma na rynku, a zatem są drogie, z tych 50 dni dałabym kompot z jabłek świeżych lub pomarańcz, 50 dni z owoców suszonych (głównie śliwek, jako najtańszych). Pozostałe sto dni zabezpieczyłabym kompotami konserwowanymi, a licząc pół litra na raz, musiałabym przygotować 50 litrowych, lub 100 półlitrowych słoików kompotu.

Jako dodatek do chleba na podwieczorki lub śniadania i do bułek, zabieranych do szkoły (licząc tylko po 20 deka dziennie), marmelady, powideł lub jam'u potrzebowałabym na 200 dni 40 kilo.

Licząc, że w ciągu zimy mamy możliwość nabywania: kapusty włoskiej, brukselki, marchewki, bulwy włoskiej, skorzonery, brukwi i t. p., mogę liczyć, że jarzynę z Week'a będę zmuszona dawać normalnie raz na tydzień tylko, po pół litra na raz, a poza tem jakieś kilkanaście razy, przy większej ilości osób, użyć zamiast pół litra, litr cały; potrzebowałabym więc na 30 tygodni 15 litrów groszku, fasolki i t. p. i jeszcze 7—8 litrów nadetatowo — wobec czego 22 do 23 litr. jarzynek wystarczy. Kilka lub kilkanaście słoików grzybów konserwowanych na świeżo (nie marynowanych!) stanowiłoby luksusowy dodatek na dnie wystawniejszych obiadów.

Jeżeli raz na tydzień dajemy leguminę, polewaną sokiem owocowym (mniej więcej ćwierć butelki

soku), musimy na to liczyć 7—8 butelek soku cukrowego. Na kisielki, lody i galarety musimy się zaopatrzyć conajmniej w taką samą ilość butelek z konserwą lub sokiem bez cukru. Ilość soków, które mogą być wypite z wodą lub użyte do limonjady, nie da się obliczyć, nie znając gustów i przyzwyczajęń danej rodziny.

Konfitur do ubierania legumin i tortów, licząc po jednym razie na tydzień i po ćwierć kilo na raz, użyjemy 7—8 kilo; drugie tyleż musimy liczyć na dodatki do podwieczorków, na których mamy krewnych lub znajomych, czyli razem około 15 kilo.

Borówek sałatowych (po dwa razy na tydzień — 40 deka za każdym razem) na całą zimę 24 kilo.

Marmelady pomidorowej, koniecznej do sosów i na zupy, a nawet do podniesienia smaku mięs duszonych i t. p., powinniśmy liczyć półlitrową butelkę na tydzień. Wynosiłoby to trzydzieści półlitrowych butelek, gdyby nie ta drobna okoliczność, że tanie pomidory na rynku mamy tylko w ciągu paru miesięcy, zapas więc marmelady z nich powinien wynosić około 40 butelek.

Teraz przechodzę do konserw mniej zdrowych: do marynat octowych. Mają one tyluż zwolenników, co i przeciwników. O ile pan domu, lub jego goście pijają przy posiłkach wódkę — rydzyki i borowiki (grzyby prawdziwe), a nawet pieczarki i podpienki w occie stanowią tak smaczną i niekosztowną zakąskę, że należy się w nie zaopatrzyć. Obliczenie zrobić według ilości tygodni i dni tych tygodni, w których grzybki podawać musimy. Jeżeli grzybki mają służyć tylko za garnitur do zimnych dań i sałatek — parę kilo ich zupełnie wystarczy. Należy je robić w małych słoikach, aby rozpoczęte się nie psuły. To samo się stosuje do korniszonów i pikli „mixed pickles”, które, o ile nie są używane na ostrą przekąskę, powinny w niedużej ilości stanowić rezerwę garniturową, lub ostry dodatek do rumianych sosów.

Nakoniec różne słodkie sałatki octowe: wiśnie, śliwki, gruszki, melon w occie. Dla dzieci stanowią szkodliwe, dla starszych — zbędne. Można zrobić ich kilka słoików, jako dodatek do wykwintnego drobiu lub zwierzyny na jakieś większe przyjęcia. Ilość też łatwo zastosować do tych, zwykle zgóry przewidywanych przyjęć.

Całe to obliczenie zrobiłam, jako schemat pomocniczy, wcale nie twierdząc, że te właśnie ilości są dobre. Niech je każdy dobrze i dokładnie sam sobie ustali.

Pani Elżbieta.

DROBNE OGŁOSZENIA

Potrzebna na wieś nauczycielka skromnych wymagań — do przygotowania dwóch dziewczyn do I klasy. Konieczna konwersacja francuska i początki muzyki. Referencje. Adres w Redakcji.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SALATKA Z RAKAMI

Mendel dużych raków ugotować w mocno osolonym wrzątku z koperkiem i cebulą, ostudzić. Obrąć z nich szyjki, łapki i wnętrzności po odrzuceniu pęcherzyka z ciecżą i kiszeczek w szyjce. Szyjki przechować. Ugotować pół litra zielonego, młodego groszku i spory pęczek młodej karotki, pokrajanej w drobną kostkę. Kawalek (15—20 deka) jakiegokolwiek pozostałego białego mięsa (kury, kurczęcia, cielęciny, indyka) usiekać jaknajdrobniej z łapkami i wnętrznościami raków, dodać garstkę drobniachno usiekanego, zielonego koperku i tyle zwykłego sosu majonezowego, aby się masa trzymała. Napelnić nią grzbietowe skorupki, na każdej położyć szyjkę rakową. Groszek z marchewką ułożyć w ładny kopeczyk pośrodku półmiska, połać sosem majonezowym, posypać zielonym koperkiem. Wkoło półmiska ułożyć kruche, wewnętrzne listki sałaty głowistej, układając na każdym po nadzianej skorupce rakowej. Ażeby reszta skorup się nie zmarnowała, utłuc je i przesmażyć z masłem na masło rakowe, które następnie można użyć do zakolorowania i aromatyzowania sosu do drobiu, cielęciny lub ryby.

KONFITURY Z BRZOSKWIŃ

Możemy je smażyć w całości, lub w połówkach. Do smażenia bierze się owoc nawpół dojrzały. Smażą też niektórzy zupełnie zielone brzoskwinie, te jednak nie mają jeszcze właściwego smaku. Brzoskwinie nakłuwają się gęsto drewnianym lub srebrnym widelcem i wrzuca natychmiast w wodę, zakwaszoną cytryną, aby nie poczerniały. Na kilo brzoskwiń bierze się dwa kilo cukru. Z połowy tego cukru gotujemy syrop z dodaniem jednej szklanki wody. Gęstym tym syropem, zupełnie ostudzonym, zalewamy brzoskwinie na dwadzieścia cztery godziny. Nazajutrz syrop zlewamy, dodajemy pół kilo cukru, wysmażamy do gęstości i lekko letnim zalewamy ponownie brzoskwinie. Zalewanie to powtarzamy trzy do czterech razy. Wkońcu smażymy owoce na bardzo wolnym ogniu i z dziesięciominutowymi przerwami, aby się owoce napełniły syropem, a nie rozgotowały. Te same ostrożności zachowujemy, smażąc brzoskwinie w połówkach. Dla zapachu dodajemy kilka utłuczonych pestek, a raczej ziarna, z nich wybrane. Na każde kilo już usmażonych konfitur dodajemy pół pastylki benzoesu, rozpuszczonego w łyżce gotowanej wody i, nie gotując więcej, odstawiamy konfitury od ognia. Gdyby syrop przez noc odwodniał, przesmażamy go raz jeszcze i ostudzonym zalewamy ułożone w słoikach brzoskwinie.

Pani Elżbieta.

Szkoła Pielęgniarstwa Polskiego Czerwonego Krzyża

rozpoczyna jesienny kurs nauk w końcu września

Internat obowiązuje. Kurs nauk dwuletni.

Informacje i prospekty w Zarządzie Szkoły, Warszawa, Smolna 6.

325

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 80 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Strażnica Kresowa.

W przepięknym swym artykule p. t. „Niewiasty kresowe” (w 23-cim numerze „Bluszczu”) p. Stefania Podhorska-Okolów, z właściwą sobie maestrią, skreśliła sylwetkę kobiety kresowej. Chciałabym do tych głębokich i wnikliwych jej rozważań dodać garść wiadomości o naszej dzisiejszej pracy u tego „źródła mocy”, którem jest ziemia kresowa.

W ubiegłym roku, dla działu społeczno-historycznego Komitetu Pracy Kobiet na Powszechnej Wystawie Poznańskiej, wypadło nam zbierać materiały, dotyczące społecznej pracy kobiet na terenie Nowogródzczyzny. Dział ten, potraktowany retrospektywnie, obejmował okres działania od roku 1863 aż do naszych dni. W miarę rozwoju tej pracy, zaczął się różnicować patriotyzm tych poczyną, oświedziła gorąca chęć dotarcia do każdego źródła, wciągnięcia na listę każdej jednostki, niepominięcia nikogo. I w rezultacie zgromadziło się przeszło 500 nazwisk kobiet, które żyły i pracowały na terenie obecnego województwa nowogródzkiego, nie wyłączając odciętej dzisiaj ziemi słuckiej. Było to wielkie i poważne świadectwo dobroku, który kobieta polska włożyła w podwaliny państwa.

I któż tam był? A więc Grottgierowska postać młodego dziewczęcia, wywożonego razem z matką na długie lata zesłania do tajgi syberyjskiej. Dalej, czcigodna matrona w czerni, jakby ze starego szychu zeszała. Ukrywa powstańców, przewozi broń, przemycza żywność do lasu. Po wywiezieniu wszystkich księży z okolicy, spełnia posługi religijne: udziela chrztu, odprowadza umarłych na cmentarz i nawet błogosławi związkom małżeńskim. I wszystko to było ważne, uważane za legalne i z dalekich stron przychodzili ludzie po błogosławieństwo starej p. J. Dziś śpi pod ciężkim kamieniem, na porośłym dzikimi różami cmentarzyku wiejskim, a na drodze świecą jasne ściany nowej szkoły polskiej i biją radośnie dzwony w pobliskim kościele. Obok tej postaci, ukryta w cieniu skromna ludowa pionierka i krzewicielka tajnego nauczania po suterrenach miast i pod strzechami głuchych wiosek. Często bezdomna, pozbawiona osobistego życia, na które nie ma czasu, pracuje wytrwale, jak kret, podkopując cytadelę ciemnoty. Nie ma stylu, nie ma typu, jest zawsze w cieniu, jakkolwiek światło szerzy.

W czasie maksimum wydajności pracy i energii, którym możliwość ekspansji dała wielka wojna, następuje cała orgja czynów. Rzesze wygnańcze, komitety, szpitale, przytulki, a przede wszystkim oświata, oświata. I wkrótce traktem smoleńskim, znanym dziadom i ojcom, ciągną te społecznice do więzień bolszewickich, w których niejedna z nich znajdzie śmierć. Za pomoc wojsku polskiemu, ukrywanie żołnierzy, udział w organizowaniu formacyj wojskowych; za Polskę wogóle...

A dalej, te najukochańsze i najmilsze, które na stos płonącego już zarzewia niepodległości rzuciły los swego młodego życia. Te, które za wierną dla Oj-

czyzny służbę ginęły na dalekich polach, na samotnych posterunkach i przesmykach granicznych.

W smugach krwi i blaskach pożogi zamyka się epoka bohaterskiego zdobywania niepodległości. A w słońcu spokojnego dnia płynie okres twórczej pracy nad jej utrwalaniem.

A tymczasem poza zgiełkowością świata i wszelkich rzeczy jego, w szeregu jednostajnych życia dni, na tej głuchej prowincji, o której Smugoniowa w „Przepióreczce” mówi, że tam się nic nie dzieje, dzieją się, owszem i tworzą rzeczy mocne, zdrowe, celowe, a w swych końcowych wynikach, w dalekich przyszłości dniach, nawet wielkie. Lecz są to przeważnie sprawy bardzo prozaiczne, pozbawione wszelkich efektów zewnętrznych i dla szerszego ogółu mało zajmujące. Żyliśmy naprzykład ostatnio pod znakiem wyborów do rad gminnych i w związku z tem przeżyaliśmy okres dużego napięcia nerwowego, głębokich emocyj i ogromnego wysiłku pracy.

Mój Boże, gdyby tak powiedzieć komuś tam, dajmy na to, w „Ziemiańskiej”, pełnej snobów t. zw. elity literackiej, o tych naszych sprawach! Ten lub ów spojrzalby z politowaniem na rzeczy tak przyziemne. A właśnie z tej przyziemności naszej w codziennym zetknięciu się z ziemią, jak starożytny An-teusz, czerpiemy moc i siłę. Z niej płynie radość twórczenia, ona to jest dla nas źródłem pełni życia, radością dnia, nieustannym potwierdzeniem naszej racji bytu i odwiecznej misji dziejowej na tych dalekich rubieżach.

Otóż w okresie tych wyborów stała się poraż pierwszy na terenie naszym rzecz wielkiej wagi, na nowy tor przeszła zwrotnica zrozumienia życia społecznego, i możemy istotnie powitać „Strażnicę kresową” w jej nowej odmianie i szacie społecznej.

W powiecie nowogródzkim, w jednej z najgłuchszych i „najdzijszych” okolic, wybrano do rad gminnych i do wyższego ciała samorządowego sejmiku powiatowego, osadniczkę i nauczycielkę wiejską, p. Janinę Pacholską. Żona walecznego Beliniaka, matka dwojga dzieci, dzielna ta niewiasta została obrana głosami wyłącznie białoruskimi, głosem ludu, który przede wszystkim ceni sprawiedliwość, rzetelną pracę i czyste intencje. Znamienne jest, iż przed paru laty, w okresie usilnej agitacji antypaństwowej, ta sama ludność ustosunkowała się nadzwyczaj wrogo względem p. Pacholskiej, a dziś obdarza ją dowodem swego najwyższego zaufania, oddając w jej ręce z pełną wiarą swój udział w sprawach samorządu, tak żywotnych i zającebiających się o każdą niemal dziedzinę ich codziennego bytowania.

Takie to zwycięstwo odniosła nieznana, cicha pracownica, budując i utrwalając mocne zręby państwowości naszej. A do zrobienia jest dużo. Wśród ostrych podmuchów „wiatru od wschodu”, który jeszcze szeroko tutaj hula, wśród odwiecznej nieufności i podejrzliwości białoruskiego ludu trzeba przeorywać te bezkresne ugory, często zachwaszczone obcymi naleciałościami. Praca to ciężka i na długie oblężona lata, wymaga ogromnej wytrwałości i czujności wnikliwej. Niema tu rzeczy małych, wszystko jest

równie wielkie, bo dla wielkich celów służy. Czy to sprawa administracji, sądownictwa, szkolnictwa, czy samorządu, opartego na niewzruszonych podstawach równości i sprawiedliwości, czy popieranie przemysłu ludowego, praca nad młodzieżą, oświata pozaszkolna, czy sanitarjat, czy brukowanie wsi; wszystko, nie wyłączając osobistego życia jednostki i jej stosunku do ludzi i otoczenia, odgrywa pewną rolę i nie idzie na marne. Wszyscy tutaj pamiętać winniśmy, „że na świecie być polakiem, to żyć bosko i statecznie”.

Praca nasza na Kresach dałaby się najlepiej określić słowem „czuwanie”, ciągle, nieustannie i na każdym życia odcinku. A przedewszystkiem czuwanie nad tem, co jest ultima ratio naszej państwowotwórczej pracy: aby każdy syn tej ziemi czuł się w obliczu Rzeczypospolitej Polskiej rzeczywistym jej obywatelem, świadomym swych praw i obowiązków, oraz utrwalanie przekonania, że Polska jest wielka, można i sprawiedliwa.

Tekla Hryniemska — Nowogródek

W sprawie art. 141 — 142.

Wszystko na świecie jest różne. To słowo „różne” kryje w sobie tysiączne przejawy. Ludzie są różni i różnie myślą, zależnie od tego, jak ich natura wyposażyla i jak się ich umysł rozwinał, wydoskonalil; różne też sądy wydają. Jeden zwalcza to, co drugi chciałby przeprowadzić, jako że wszechmiar doniosłe. Ale to już stara rzecz, tak jest i będzie. Tak się ma z każdą poruszoną sprawą, tak i ze sprawami w „Naszej Mównicy”. Wprawdzie kobiety, jak na swą wielomówność, mało swych myśli przelewają na papier, zwłaszcza w sprawach ważnych, jak obecnie poruszona, jednak dyskusja zaczyna się na ten temat poważnie rozwijać.

Mimo paragrafów i kar, uciekano się do wszelkich środków i rad w przerywaniu ciąży, chcąc się uchronić przed następstwami, którym większa część ludzi, ze względów czysto życiowych, poddać się nie może.

Paragraf ten stał się więc bezsilny, jest bezradną, martwą literą, jest dziś nadto niesprawiedliwy, krzywdzący całe masy warstw społecznych, które z obawy przed karą, a przeważnie z braku środków materialnych na fachowe przeprowadzenie operacji, uciekają się do pokątnego partactwa, wcześniej lub później odbijającego się na zdrowiu.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że macierzyństwo było zawsze upragnione i w dawniejszych czasach zabiegi ochronne nie były stosowane, gdyż lepsze warunki ekonomiczne nie skłaniały małżeństw do ograniczania ilości potomstwa. Kobieta rodziła, wychowywała, kształciła bez wielkich trudności. Dziś wszystko uległo gruntownej zmianie, życie ludzkie stało się pasmem trudu, ciągłą walką o lepsze jutro. Nowe życie jednostki w rodzinie staje się tak uciążliwe, że trudno jej potrzebom poddać. Dając życie istocie ludzkiej, jesteśmy bezwzględnie obowiązani zapewnić jej minimum koniecznego dobrobytu i przygotować intelektualnie, moralnie i fizycznie do walki z życiem. Musimy unikać ze strony dziecka tych gorzkich słów prawdy: „Poco ja żyję — jam się na świat nie prosił!”. Słowa straszne dla serc rodzicielskich, a jednak, już dziś tak często we wszystkich sferach słyszane i przyznajmy sami, wielokrotnie słuszne. Dać życie, a nie dać silnych podstaw życiowych i puścić istotę na los szczęścia, to nietylko zła odwaga, to grzech i odpowiedzialność wobec tej niewinnej istoty, gdyż dziś

już kwestja dania lub nie dania życia jednostce zależy od wiedzy i woli ludzkiej, a więc od nas samych.

To też jedną z najważniejszych przyczyn uciekania się do środków zapobiegawczych, są ciężkie warunki materialne, pod które podporządkowuje się całe życie ludzkie, a które zarówno ubogim, jak i niby średnio-zamożnym rodzinom, stanowiącym większość naszego społeczeństwa, nie pozwalają na wychowanie i kształcenie dużej liczby dzieci. Jednem słowem, warunki życiowe tak się obecnie złożyły, że korzystanie z zabiegów i rad lekarskich powinno bezwzględnie przyjść z pomocą, jeśli chcemy uniknąć tylu zgrozających przypadków wypadków, samobójstw, dzieciobójstw, podrzucania i t. p. Takie biedactwa cierpią za winy i lekkomyślność swych rodziców, którzy, będąc sami w biedzie, pomnażają stokroć gorszą.

Czyż to jest racjonalne? czy to należy tolerować? czy nie lepiej zapobiec temu, w czasie odpowiednim, w pierwszych zaczątkach, kiedy istota właściwie jeszcze nie żyje, lub wogóle zapobiegać skutecznymi środkami, by uniknąć tylu niepotrzebnych cierpień.

Zawierać związki małżeńskie mają prawo wszyscy, nikt nie może pozbawić kogoś szczęścia osobistego, jakim jest współżycie z ukochaną istotą. Medycyna powinna być obowiązana do przyjsia z pomocą ogółowi, dostarczenia środków nieszkodliwych a niezawodnych. Najwyższy to już czas.

Rzeczywistość przemogła i narzuciła pytanie: Ile mieć dzieci? Pytanie to stawia sobie obecnie inteligencja, a rozumiejąc jego doniosłość, stosuje się doń. Bo trudno sobie wyobrazić, by ludzie obecnej doby, naprawdę kulturalni, rozumni, trzeźwo patrzący na życie, przeszli nad tem do porządku dziennego bez zastanowienia, mówiąc: „niech się dzieje co chce, jakoś to będzie”. Zbyt ryzykowna byłaby to igraszka z życiem istoty, której terażniejszość i cała może stokroć gorsza przyszłość zależy od jej rodziców.

Przyjsie na świat niemowlęcia powinno być dla małżonków źródłem szczęścia, nie jego zakłóceniem, troską i zgryzotą, z czego wychować. Jeśli społeczeństwo chce dysponować rodzicielką-matką, narzucać jej prawa, powinno stworzyć warunki życiowe i społeczne takie, aby kobieta rodzić mogła bez ograniczenia.

O wyludnienie niema obawy, nam to nie grozi; mimo wszystko, jesteśmy jednym z najplodniejszych państw na świecie, a przecież społeczeństwo nie jest w stanie utrzymać tylu dzieci, ile może wydać na świat kobieta, i dziś już nie łatwy to problem do rozwiązania: co robić z takim przyrostem ludności. Co wykazuje statystyka? Czy trzeba więcej słów? czyż mało wokół faktów: nędzy i bezrobocia? Patrzymy trzeźwo, nie zasklepiając się w kilku ścianach swego, może wygodnego, komfortowego, w dostatki może opływającego mieszkania, gdzie nie słychać gorzkich szeptów: niema! nie wystarczy, nie można! Gdzie nad wydaniem kilkunastu czy kilkuset złotych, nikt się nie zastanawia, gdyż długu na to zaciągnąć nie potrzebuje. Ale nie wszędzie tak jest, a raczej w większości wypadków jest inaczej.

Nikt nie jest dziś w stanie zmusić nas do rodzenia dzieci, wolna, równouprawniona kobieta decyduje dziś sama o sobie, bo jej tylko przysługuje prawo głosu w tych sprawach. Absurdem jest dzisiaj przeczyć, zastanawiać się jeszcze nad zniesieniem art. 141 — 142. Wypadki same mówią za siebie.

To też kobieta nowoczesna, dorosła do równouprawnienia, zrozumiała doskonale nielogiczność i niesprawiedliwość i dlatego to domaga się zupełnego zniesienia narzuconego jej w czasie „niewoli” przymusu i kar, przewidzianych w art. 141 — 142, jako nieaktualnych i bezsilnych. Stała prenumeratorka „Bluszczu”.

Potępiającym matki nieślubne.

Słusznie stwierdziła jedna z pań, że dla kobiety nikt nie będzie surowszy i bezwzględniejszy, niż inna kobieta. Na list p. Dzieciolowskiej miałam natychmiast odpowiedzieć, lecz chwilowo praca mi nie pozwoliła, potem oczekiwałam reakcji z szerokiego świata kobiecego. Wiele nas jest, niezgadających się z wywodami p. D., ale czy lenistwo, czy nasze rujnujące powiedzenie „jakoś tam będzie”, wytrąca nam pióro z ręki, a ponadto brak solidarności i egoistyczne poczucie własnego szczęścia, lub obojętność stoją na przeszkodzie odpowiedzeniu.

Powiedziała któraś z pań, że kobieta, godząc się na zostanie matką przed ślubem, liczy na małżeństwo. Gdyby nawet? Małżeństwo jest głównym, a często jedynym jej celem.

Kobieta pragnie zostać matką, a czy będzie nią kilka miesięcy wcześniej, czy później, o to jej w danej chwili nie chodzi.

Wprawdzie to grzech, ale, dlaczego nie grzeszy mężczyzna, namawiając, a grzeszyć ma słabsza kobieta, ulegając? Pan Bóg wygnał z raju zarówno Ewę, jak i Adama, za to, że dopuścili się grzechu, a więc za naruszenie przykazania zarówno kobieta, jak i mężczyzna winni jednakowo pokutować, tymczasem ciężar odpowiedzialności spada na kobietę!

Wiele jest matek nieślubnych, ale mało jest takich, które zostają niemi z rozpusty. Większość grzeszy z naiwności, lekkomyślności, w zaślepieniu miłosnem, tym najsilniejszym bodaj popędzie.

Przykre to jest dla nas kobiet, a nawet uwłaczające, że przypisujemy tak wielką liczbę dzieci nieślubnych rozpucie. Jak takie argumenty świadczą o nas samych? Rozpustnica, to kobieta, wyzuta z elementarnych zasad etyki, i ta bez skrupułu zamorduje nie tylko swe nieślubne, ale i ślubne dziecko, ukradnie, co się da, zdolna jest do najgorszych czynów. Jest to typ bezwzględnie patologiczny i tu żadne morały nie pomagają; wychowanie może złagodzić owe ujemne skłonności, zapobiegać im, ale ich doszczętnie nie wykończy, gdyż nałóg ten tkwi silnie w organizmie i możliwy jest do opanowania w słabym tylko stopniu. Istnieją i mężczyźni podobni, a że dzieci nie rodzą, więc wolni są od potępiającej krytyki społeczeństwa. Jednostki takie winno się izolować w specjalnych zakładach, lecz nie pogardzać i lżyć, bo temi środkami nikt niczego nie zbuduje, przeciwnie, wykopie przepaść.

Żadna zbrodnia nie jest tak ciężko karana moralnie, jak nieślubne macierzyństwo. Dla najgorszego przestępcy istnieje termin kary; nawet dożywotni więźniowie mają nadzieję amnestji, a matka nieślubna?

Za chwilę zapomnienia, za jeden fałszywy krok, za to, że ją silniejszy podłą namową uwiódł, musi wlec za sobą hańbę i pogardę do końca życia, bez nadziei przywrócenia czci i szacunku, wykreślona poza nawias społeczeństwa.

I dziwimy się, że jest dużo prostytutek? Niewiele ich jest z natury, anormalnie namiętnych, więcej takich, które rzucają się w odmet dzięki pogardzie i odepchnięciu z naszej strony.

Dlaczego tak lubimy potępiać? dlaczego nie przygarniemy ich? nie ujmiemy się za nimi?

Wprawdzie są kobiety, mające nieślubne dzieci, które nie czują się gorszymi od matek ślubnych, ale jakże ich mało! Więcej jest niezaradnych, pozbawionych pracy, które przechodzą z rąk do rąk i takie, o ile nie zniszczą ich choroby, mogą mieć po 6-oro dzieci, każde z innym ojcem, o czym pisała jedna z pań.

Kobieta uwiedziona nie ma drogi poprawy, bo zawsze będą jej towarzyszyły drwiny i pogarda lu-

dzi, zwłaszcza kobiet, a gdy się nie ma nadziei osiągnięcia zamierzonego celu, którym jest przywrócenie czci, czy się chce pracować?

Matce nieślubnej życia pozbawić się nie wolno, a czyż nie lepsza śmierć, niż dożywotnia pogarda i odrzucenie przez społeczeństwo, a w pierwszym rzędzie przez najbliższe jej kobiety, dla których los okazał się łaskawszy, które Bóg uchronił od tego najcięższego bólu i wstydu?

Czy nie wiemy, że nasi znajomi, lub krewni, a co gorsza i mężowie, uwiedli gdzieś, kiedyś jakąś znaną lub nieznaną dziewczynę?

I znosimy to, wprawdzie z bólem upokorzenia, ale znosimy i żadna z nas nie potępia ich, potępiając za to ich ofiary.

Nie wyolbrzymiam męczeństwa matek nieślubnych, bronię je tylko, a to z tego względu, że nie są zbrodniarkami, rodząc dziecko, gdyż jest ono owocem miłości, a nie rozpusty, oszukańczej obietnicy, na której się łatwowierna kobieta nie poznała, sądząc, że jej przyszedł lepszy, niż wszyscy.

Bardzobym chciała, aby wszystkie kobiety były do siebie życzliwe, jeżeli nie serdecznie, usposobione, aby otoczyły matki nieślubne opieką, domagały się kary dla mężczyzn, oszukujących i uwodzących dziewczęta. Wtedy zmniejszyłybyśmy ilość samobójstw, dzieciobójstw i prostytucji, tej hańby jestwa kobiecego.

Ege.

Jak porządnie pracują.

Istniejąca od 9 lat w Grodnie Państwowa szkoła zawodowa żeńska rozwija się doskonale, wykazując dobitnie, jak bardzo potrzeba naszym dziewczętom takich właśnie uczelni. Początkowo były dwie szkoły, niższa i średnia. Obecnie ta ostatnia likwiduje się, gdyż najlepiej dopasowany do potrzeb miejscowych



Wystawa: piękny sztandar, projektu nauczycielki, p. Heleny Głowińskiej.

okazał się drugi typ: szkoły zawodowej średniej. Kurs jej trwa trzy lata, program obejmuje bieliźniarstwo, krawiecczynę i gospodarstwo domowe; z tego ostatniego działu korzystają i uczennice szkół powszechnych.

Działalność tej placówki nie ogranicza się jednak tylko do prowadzenia szkoły: kierowniczka p. Stanisława Mościcka, organizuje stale w całym powiecie nowogrodzkim różne typy kursów, półrocznych i trzymiesięcznych, kursy te, prócz szycia i gospodarstwa uwzględniają i tkactwo. W prowadzeniu zarówno szkoły, jak i kursów stosowane są nowoczesne kierunki artystyczne.

Na zakończenie bieżącego roku szkolnego zorganizowano wystawę prac uczennic, obejmującą liczne eksponaty.

W. D. — Grodno.

Jeszcze jedno równouprawnienie.

Pragnę zabrać głos w sprawie form gramatycznych języka polskiego.

Czy nie wydaje się dziwnym istniejący podział gramatyki pod względem końcówek rodzajowych czasowników (czas przeszły, liczba mnoga), oraz przymiotników i zaimków (liczba mnoga), że z jednej strony mamy jedynie rodzaj męski osobowy, a z drugiej wszystkie inne rzeczowniki, a więc rodzaj żeński osobowy wraz z nieosobowym męskim, zwierzęcymi, nieżywotnymi i nijakimi rzeczownikami?

Niektóre podręczniki gramatyki nazywają wprost końcówki, odnoszące się do I klasy, końcówkami osobowymi, a do II kl., nieosobowymi. A zatem wszystkie istoty rodzaju żeńskiego są traktowane w gramatyce, jako coś nieosobowego, coś, czemu wyrazu nawet form ludzkich nadać nie należy. Nie powstały przecież takie zwroty przypadkowo. Musiały kształtować się na podstawie pojęć dawniejszych, zwyczajów, panujących niegdyś, kiedy to mężczyzna był jedynie panem stworzenia, a kobieta jego własnością, jego rzeczą, cenioną nieraz niżej, niż koń ulubiony lub zbroja. Nic też dziwnego, że w mowie swej zaznaczał tę różnicę. Dzisiaj jest to już anachronizmem, zwłaszcza, że nie spotykamy podobnych dziwologów w żadnym z języków europejskich.

Może istnieć i oczywiście istnieje różnorodny podział form, na przykład na końcówki rodzajowe (dwu- lub trzyrodzajowe), można też wyodrębnić w jednej grupie rzeczowniki osobowe wogóle, a w drugiej wszystkie inne; byłoby nie obowiązujące obecnie formy, które uważam za upokarzające. Gdy wypadało mi niejednokrotnie tłumaczyć dzieciom wspomniane zasady i przestrzegać stosowania ich, czułam jakby zażenowanie, i zdarzało mi się niekiedy spotkać z zapytaniem: „proszę pani, czy to my, dziewczynki, nie ludzie? Dlaczego mamy używać form nieosobowych?”

Pragnęłabym, aby tą, tak napozór drobną sprawą, niepozabawioną jednak głębszego znaczenia, zainteresował się szerszy ogół, a zwłaszcza językoznawcy. Może dałoby się w tym dziale przeprowadzić jakąś reformę, odpowiadającą duchowi czasu. W każdym razie należy uczynić choć jeden krok naprzód.

Wanda Lańska

Wyniki badania zdrowia dzieci.

Zarząd „Rodziny Policyjnej” w Łowiczu podjął godną uwagi próbę zbadania stanu zdrowotnego dzieci policjantów. W rezultacie tego badania stwierdzono, że z 40 dzieci, 22 posiada krzywicę, 31 — powiększone gruczoły chłonne, 1 — nerwicę serca, 1 —

przepuklinę pępkową; u 12 dzieci stwierdzono odżywianie niżej normy.

Oczywistą jest rzeczą, że niema podstaw do uogólniania tego stanu na dzieci policjantów wszystkich miejscowości Rzeczypospolitej, jednak próba ta nasuwa przypuszczenie, że i w szeregach innych ośrodków „Rodzina Policyjna” będzie miała przed sobą wielkie pole pracy w dziedzinie otoczenia swych dzieci należytą opieką i pomocą.

W. B. — Łowicz

Jak panie mieszkacie?

Nad rozmaitymi tematami dyskutujemy w „Mównicy”, jednego dotąd nie poruszono, choć jest tak ważny: sprawy naszych mieszkań. Na początku jeszcze zdaje się bieżącego roku, czy może dawniej pamiętam w „Bluszczu” artykuł o kwestii mieszkaniowej, ale w „Mównicy” cisza. Czyżby kobiety nie myślały o tej sprawie, tak niezmiennie aktualnej, a tak nierozstrzygniętej u nas? Przecież własny kąt schludny i choć skromnie, ale jako tako wystarczający to podstawa życia rodzinnego, warunek higienicznego wychowania dzieci, zaryzykuję nawet twierdzenie, że to warunek wydajnej pracy materialnej. Czy można być zdrowym, szczęśliwym, mieć swobodny umysł do pracy, prowadzić racjonalnie swoje sprawy życiowe, żyjąc w ciasnym i ciemnym mieszkaniu? Wątpię.

Co rok czytamy na wiosnę, że już w tym roku sezon budowlany będzie wykorzystany, projektuje się jakieś inwestycje, zużywanie na ten cel różnych funduszy, pożyczki etc., i... wszystko zostaje po staremu. W tym roku, z racji trudnego położenia gospodarczego, nawet mniej się pisze, niż zwykle. A przecież rozwój budownictwa to właśnie najlepsze na kryzys lekarstwo.

W Warszawie mieszkanie dostać można, ale w warunkach doprawdy urągających zdrowemu rozsądkowi. Jesteśmy widocznie tak niedołęzni, że nie umiemy sobie zupełnie dać rady z najohydniejszą spekulacją. Teoretycznie istnieją surowe kary za sprzedawanie i kupowanie mieszkań, a w każdym domu można mieszkanie kupić! Naturalnie, kto ma na to duże sumy.

Pozatem można dostać mieszkanie w spółdzielni. Jest to „osobny paragraf”, pomijam już liczne bankructwa i afery spółdzielni mieszkaniowych, w których ludzie tracą ostatnie, uciulane grosze, ale nawet uczciwe takie imprezy są drogie, drogie i jeszcze raz drogie. Cena paru pokoi, przeważnie na peryferiach, do których nieraz tramwaj nie dochodzi, niema sklepów, ani żadnych wygód, wynosi paręset złotych miesięcznie! Prawda, mieszkanie staje się z czasem własnością, ale cóż to za dziwny pomysł, narzucania komuś własności! A może ja niechęć wiązać się własnym mieszkaniem. Zamiast płacić po 200 i więcej złotych miesięcznie, za lokal, dlatego, aby być po 25 latach jego właścicielką, wolalabym płacić 60 lub 80 zł. miesięcznie zwyczajnego komornego, bo za 25 lat mogę nie żyć, albo potrzebować mieszkać gdzieindziej. Przytem, na zapisanie się do spółdzielni trzeba też od razu mieć pewien kapitał, a co ma robić ten, kto go nie posiada?

Wreszcie można w stolicy dostać lokal za t. zw. „wyższe komorne”, w nowych domach, nie objętych ochroną lokatorów, i tu zaczyna się lichwa najbezwstydniejsza. Za dwa pokoiki, 250 zł. miesięcznie, za trzy, do 400! I jeszcze śmiało żądać komornego za pół roku i rok zgóry, ba, za trzy lata zgóry!

Czy kobiety nie wezmą się nareszcie do zrobienia porządku z tą sprawą? Czy nie znajdują się energiczne panie, które założyłyby nowe spółdzielnie, czynszowe, z mieszkaniem po normalnych cenach? Przecież to nawet świetny interes! Czy nasze radne i posłanki nie mogą zacząć prowadzić polityki mieszkaniowej? Czasby był najwyższy!

A może to tylko Warszawa ma tak straszne stosunki, może na prowincji jest lepiej? To też chciałabym bardzo, aby wszystkie panie wypowiedziały się, jak mieszkają, co o tem myślą. Na początek poinformujmy się w jakich warunkach mieszkaniowych żyjemy, zdajmy sobie sprawę z naszej nędzy, a może to podnieci nas do energicznej przeciwko niej reakcji.

Nina M... — Warszawa.